

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 20. I. 1952 r.

Nr. 3 (337)



Kuo Mo-Zo



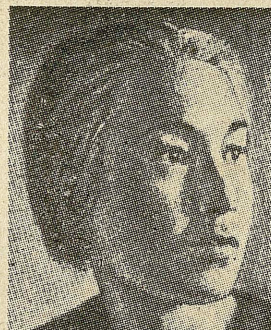
Ikuo Oyama



Pietro Nenni



Monika Felton



Anna Seghers



Jorge Amado

STALINOWSKIE NAGRODY POKOJU

Po raz drugi w historii wojny wielkiej sprawy ludzkości — walki o pokój między narodami — zostali odznaczeni najwyższą nagrodą światowego obozu postępu — Międzynarodową Stalinowską Nagrodą Pokoju.

JUŻ w okresie rewolucji 1925—1927, zrodzonej z wiekowej nędzy i ucisku 400 milionów ludzi, prosty lud chiński nazwał **Kuo Mo-Zo** „Dobrym Rewolucyjnym” za jego płomienne wiersze, wzywające robotników i chłopów do walki o wyzwolenie, za jego całą działalność rewolucyjną u boku Mao-Tse-Tunga, za jego hart i oddanie sprawie ludu pracującego.

„Lud chiński miłuje pokój — 225 milionów Chińczyków podpisało Apel Sztokholmski. Naród chiński jest za utrwaleniem pokoju — wołał Kuo Mo-Zo na Światowym Kongresie Obróńców Pokoju w Warszawie — i wie jak o niego walczyć.

I dlatego naród chiński nie ugnie się nigdy przed agresorem i nie może i nie będzie zachowywać się obojętnie i bezczynnie wobec niebezpieczeństwa, które są udziałem innych narodów...”

Bo pokój jest niepodzielny.

W wielkim siedlisku imperializmu na Dalekim Wschodzie — w Japonii, walce przeciwko imperializmowi, przeciwko polityce agresji podjęły od 1917 roku, nowe siły społeczne, ogromadzały się wokół wielkiego postępowego dziennika „Osaka Asahi”, którego naczelnym redaktorem był od początku profesor **Ikuo Oyama**. Wykazał on w tej walce ogromną siłę przekonań, hart i odwagę, gotowość poświęcenia własnego życia, przeciwstawiając się nieugięcie przeszło 30 lat polityce drapieżnego imperializmu japońskiego, walcząc o pokój w Azji, o wolność, o samostanowienie, o rozwój bratnich narodów Dalekiego Wschodu. Nie złamały go lata emigracji politycznej, na którą został zesłany po założeniu partii robotników i chłopów, nie złamała go po wojnie amerykańska okupacja. **Ikuo Oyama** nie jest samotny w swej walce, o te same ideały walczy dziś przeciwko siłom reakcji Japońska Liga Pokoju, która liczy już dziś 10 milionów aktywnych członków. Przy ich udziale, przy udziale setek milionów ludzi bratnich narodów Azji i innych kontynentów, **Ikuo Oyama** przyspiesza dzień, w którym... „narody ujmą w swe ręce sprawę obrony pokoju”...

W owych odległych latach walki najlepszych i najodważniejszych, świat usłyszał po raz pierwszy nazwisko **Pietro Nenni** człowieka, który miał odwagę przeciwstawić się zdradzie włoskiej partii socjalistycznej na rzecz Mussoliniego, za co zapłacił wieloma latami prześladowań i emigracji. Warszawa dobrze zna tego syna robotnika rolnego włoskiej prowincji Faenza, zna jego płomienne mowy w obronie pokoju z pamiętnych dni II Światowego Kongresu Obróńców Pokoju. **Pietro Nenni**, ten przedstawiciel włoskiego ruchu demokratycznego, przywódca włoskiej partii socjalistycznej, publicysta i mąż stanu, jeden z najmniejszych — demaskato-

rów polityki imperialistycznej, dawniej największy wróg faszyzmu Mussoliniego i Hitlera, a obecnie faszyzmu Trumana, dąży do pokoju poprzez zjednoczenie klasy robotniczej we wszystkich krajach, poprzez połączenie tej wielkiej siły społecznej z wszystkimi ludźmi dobrej woli, by w ten sposób wymusić pokój na podżegaczach wojennych.

A w Anglii, tradycyjnej twierdzy imperializmu, **Monika Felton** ujawniła światu, jak silny jest w jej kraju ruch przeciwko histerii wojennej i polityce agresji. **Monika Felton** wydała wojnę swojemu i amerykańskiemu rządowi. Po powrocie z Korei, gdzie bawiła jako członek Komisji Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet, napisała prawdę o Korei: o agresji amerykańsko-angielskiej, o potwornych zbrodniach okupantów, popełnianych na wolnym narodzie. Kampania **Moniki Felton** ma jeszcze jedną nieprzemijającą zasługę dla sprawy pokoju: popularność jej w Anglii wykazała, że najlepsze tradycje angielskich mas drobnoburżuazyjnych, odziedzicujących się od polityki agresji, są żywe i że zdobywają nowych zwolenników; że tym samym kolonialno-imperialistyczna polityka Anglii, czy to prowadzona samodzielnie, jak dawniej, czy też pod patronatem Stanów Zjednoczonych, jak obecnie, ma coraz liczniejszych wrogów w narodzie angielskim.

W Niemczech, największym i kiedyś centrum faszyzmu i imperializmu, rozlega się głos **Anny Seghers**, nawołujący od 1928 roku, od pierwszej jej książki „Powstanie Rybaków w St. Barbara”, do walki o pokój. Dzisiaj, poprzez wiele innych jej książek, w chwili, gdy imperializm amerykańsko-angielski uczynił z Niemiec Zachodnich jedno z głównych ognisk zapalnych świata, głosu tego słuchają niemieckie masy pracujące. „W Niemczech walka o pokój jest nierozdzielnie związana z walką o jedność ojczyzny. Żyć w jednym wolnym kraju ze wszystkimi narodami w pokoju — oto głośno wyrażane pragnienie milionów Niemców” — mówi **Anna Seghers**.

Z Brazylii, liczącej 50 milionów ludności o powierzchni równej Europie, bogactwach większych niż bogactwa kilku kontynentów razem wziętych, ale kraju nędzy i terroru nie dającego się z niczym porównać, z kraju wstrząsanego buntami i rewolucjami, od narodu walczącego o pokój, a zależnego od kapitalistów i generałów amerykańskich dążących do wojny — wybiega donośnie głos **Jorge Amado**, brazylijskiego pisarza rewolucyjnego, jednego z najbardziej nieustępliwych bojowników przeciwko imperializmowi. W wielu swych książkach nie tylko zaznajamia on narody świata z tragicznymi rezultatami polityki imperialistycznej, nie tylko przestrzega wolne jeszcze narody przed grozą podobnej niewoli, ale zaznajamia także z walką narodu brazylijskiego, który pod przewodem swojego przywódcy Prestesa, owego słusnie przez lud brazylijski nazwanego „Rycerza Nadziei”, walczy przede wszystkim o pokój, porwijając za sobą narody całej Ameryki Łacińskiej.

PO CZTERDZIESTU LATACH

Poniżej zamieszczamy list Józefa Majewskiego. W r. 1910 wywędrował on z kraju „za chlebem” do Ameryki. Z chłopca stał się za oceanem robotnikiem. Pracował tam i walczył w czołowym ruchu amerykańskiej klasy robotniczej. Po czterdziestu przeszło latach powrócił do ojczyzny w ostatnich dniach listopada 1951 r. W grudniu napisał list do znajomego i towarzysza z dawnych „amerykańskich” lat, Seweryna Skulskiego.

Do Seweryna Skulskiego

Drogi Towarzyszu! Chciałem Wam nieco napisać o faszyzmie Trumana. Podczas mojego odjazdu z Detroit było w mieście przeszło 100 tysięcy bezrobotnych. Dodatkowo przed nowym rokiem, Ford zwalniał 70 tysięcy robotników ze swoich fabryk detroitkich. Oprócz odtrącania od zarobków robotnikom pracującym różnych podatków, dodatkowo klasa robotnicza przy każdym zakupie czegośkolwiek płaci podatki a przy tym rzeczy codziennego użytku a szczególnie żywność stała droższe. Gdy się na drugi dzień wejdzie do sklepu po wypłatę, to człowiek przekonuje się, że dolar stał się świstkiem papieru.

Rozpoczyna się historyczna naganka na Murzynów, robotników obcego pochodzenia i na organizacje lewicowe. W gazetach nastroj wojenny. Gazety trustowe są przepelnione pochwałami dla śmierci i ruin Korei a rezultaty tej wojny już widać na tamtejszych ulicach, po których chodzą weterani bez rąk a inni bez nóg. Chcą wmówić w każdego, że wszystkiemu złu na świecie winien Związek Radziecki i kraje demokracji ludowych. Trumana faszyzuje. Stany Zjednoczone coraz widoczniej. Wielu przywódców klasy robotniczej w więzieniach. Nasz Związek Polonia, który jest składową częścią International Workers Order, amerykańskiej klasy robotniczej organizacji zapomo-

gowej i ubezpieczeniowej, został przez faszyzm Trumana zawieszony, chociaż organizacja ta w znacznej mierze dopomagała do wygrania Ameryce wojny i pobicia hitlerizmu. Sądy powiatowe i stanowe uznają działalność tej organizacji za nielegalną. Teraz poszła sprawa o orzeczenie najwyższego sądu Stanów Zjednoczonych. Ale wiadomo, jakie będzie orzeczenie. W niższych sądach siedzą niżej wykonawcy woli burżuazji a, w najwyższym sądzie siedzą już nie tylko slugi, ale sami monopolisi.

Nie łatwo było mi wybrać się do Polski. Po długich i kosztownych staraniach dostałem paszport, jako obywatel Stanów Zjednoczonych, ale w większości wypadków na tych, którym dadzą paszport na wyjazd NA WIZYTĘ do Polski jak i do innych krajów demokracji ludowych, nocami najeżdżają agenci Biura Inwestycyjnego, amerykańskiego gestapo, terroryzują i paszport odbierają.

Do Ameryki nie mam po co wracać. Tu w Polsce widzę wielki rozmach budownictwa i nowego sprawiedliwego życia, tylko nie wiem, czy mi Polska da obywatelskie prawa. Całe życie przecież przepracowałem dla budowy Stanów Zjednoczonych a dla Polski nic nie zrobiłem.

Józef Majewski

Lublin — grudzień 1951 r.

Do Józefa Majewskiego

Towarzyszu! I dla Polski zrobiłeś wiele. Policz tylko, ileś to razy w tej Ameryce brał udział w protestacyjnych demonstracjach. Policz, ileś to razy dostał pałą gumową od stróża amerykańskiego kapitalu. Policz, ile razy składałeś fundusz pieniężny na obronę politycznych więźniów w Ameryce i w Polsce oraz na chleb ich rodzin. Bromieś tych, co walczyli o taką Polskę, jaką dziś zastajesz. Pomagałeś tym, co w walce tej przodowali, co w niej oddali swe życie. A ile razy występowałeś przeciwko „lapięchłom”, którzy twojego brata, rodaka, batamucili sanacyjną władzą. On tęsknił za ojczyzną, a oni mu dudlili — jest „rzunda”, to jest i ojczyzna. A tyś mu mówił: na ile kochaś ojczyznę, na tyle nienawidź „rzundu” kapitalu, rzędu zdrady ludu i narodu! Byłeś członkiem przedniej strażnicy amerykańskiej klasy pracującej i na tej pozycji zbliżałeś idący ku Ameryce dzień prawdziwej demokracji i wolności.

Nowa Polska przyjmie Cię i da Ci pełne prawa, jako zastużonemu obywatelowi, który nie spłamił honoru prawdziwego, internacjonalnego patriotyzmu „za naszą i waszą wolność”.

Towarzyszu! Autorem w lubelskiej fabryce samochodów, jak u Forda — nie będziesz! Będziesz mógł z podniesioną głową i z peł-

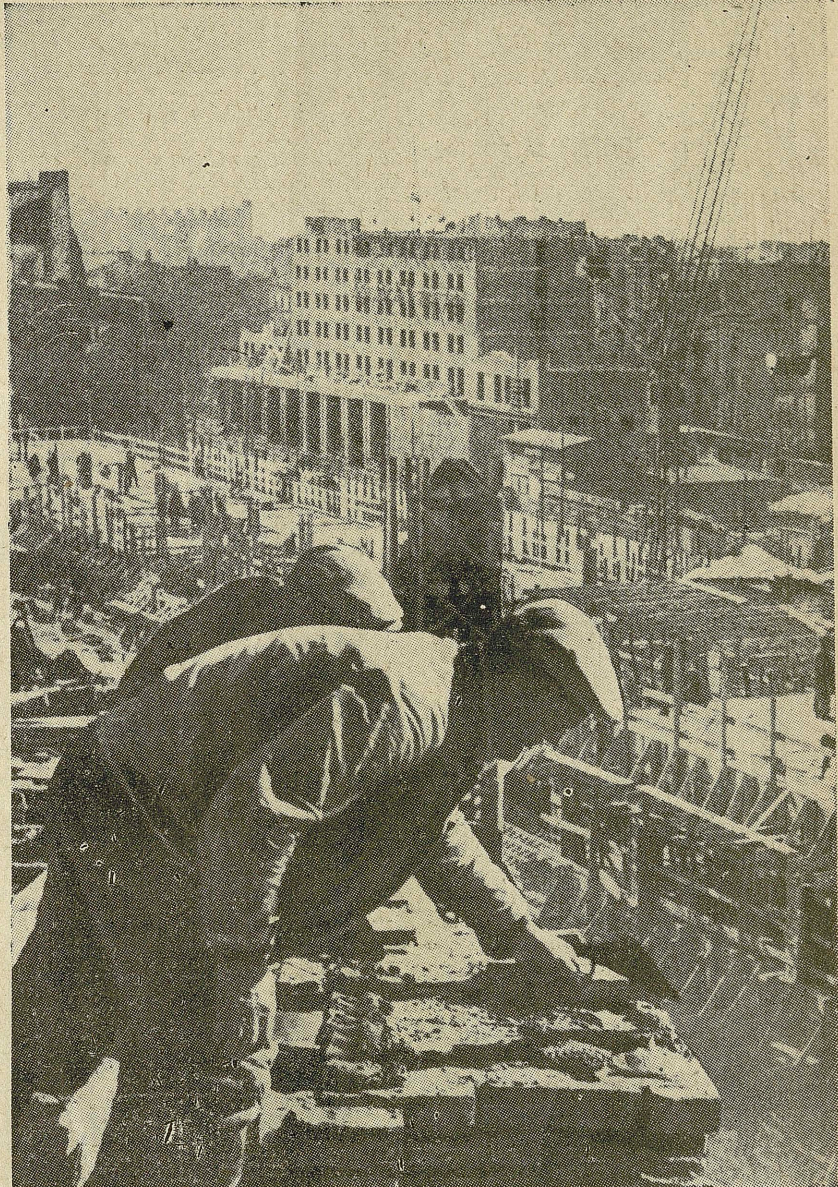
ną radością w sercu pracować twórczo dla Twojego narodu i dla siebie. Nadal będziesz walczył o pokój światowy, jak walczyłeś w Detroit głosem protestu, ale tu w kraju, tu w Polsce Ludowej, będziesz walczył pracą w Szescioletnim Planie, który zabija wojnę.

Towarzyszu! Piszesz o histerii wojennej i antykomunistycznej w Ameryce. Ja czytam stale prasę amerykańską i piszę z kraju do postępowych pism polskich w USA. Dobrześ powiedział — HISTERIA. Ta zwierzcha nienawiść do milionowych mas własnego narodu i to bestialstwo miliarderów ma za potrzebę strach nie mniej zwierzęcy. I o tym trzeba pisać naszym rodakom w kraju.

Towarzyszu! Ty takie wydarzenia dobrze znasz. Wprost niesposób ich zaszeregować. Obłąd, idiotyzm i zbrodnia masowa — razem. Amerykańska histeria — krótko mówiąc, ale jasno jak na dłoni widać z tego przykładu, że jest to choroba nie narodu amerykańskiego, ale gnijącego, ostatniego stadium kapitalizmu amerykańskiego, ostatniej klasy łupieżców całego świata, zagnieźdzonej na Wall Street. Naród amerykański trzeźwieje od tej histerii swoich władców. Wzbiera rozsądkiem i wolą walki.

Seweryn Skulski

Kornkovo — styczeń 1952 r.



STANISŁAW OPIRCHAŁ

WARSZAWA — MIASTO POKOJU

Wiersz poniższy jest dziełem byłego analfabety, który pisze lewą ręką, gdyż prawą nie włada. Kiedy tylko nauczył się trochę pisać, zapisuje wiersze własnego układu. Tematem tych wierszy jest wdzięczność dla władzy ludowej za zdjęcie „bielma” z oczu, opis miast polskich, osiągnięcia przemysłu, prace rolnika w związku z porami roku. Pierwsze wiersze Opirchała powstałe na kursie dla analfabetów drukowaliśmy w naszym piśmie.

Poprzyjmy pokoju naszą świętą sprawę
Popatrzmy ciekawym okiem na Warszawę,
z jakim ogromnym tempem tam wre praca,
odświeżny wygląd Stolicy przywraca.
Z jakim rozmachem pęcznią tam mury,
jak nasza stolica dźwiga się do góry
przynać musimy, że tam nie próżnują
bo pierwsze w Polsce metro tam budują.
Śliczną Wschód — Zachód zbudowali trasę,
to chluba Polski, to bogactwo nasze
i domy ze szkła tamże są stawiane
tak jak to w bajce bywa napisane,
i nad ulicą ruchome schody
by ludzie pracy mieli wygody.
Na kilka pięter budowle stawiają
rozmaite urzędy w nich swą służbę mają.
Także i pomniki sztuki i kultury
w pierwotnej szacie dźwiga się do góry
Na rozmach budowy popatrzmy się z boku
a liza radości zaświeci nam w oku.

Już nie Michałko

SZESNASTOLETNI Janek Górski przyjechał do Warszawy od Smatki z 2-hektarowej gospodarki w pierwszym roku wielkiego planu. Droga typowa: szkoła — praktyka na budowie — młodzieżowa brigada produkcyjna. Przedtem jeszcze przeszedł u wielkiego kowala w Białostockim praktykę kowalską. A praktyka kowalska w tych latach, to już nie tylko podkucanie konia. To także naprawa uszkodzonych narzędzi. Bo nawet w Białostockim, na zafornych obszarach Polski „B” znalazły się maszyny. Rewolucja wtargnęła tu — no, nie traktorem — ale żniwiarką, snopowiązałką coraz częściej. Gdy więc chłopak przybywa do Warszawy, przywozi już ze sobą jakiś taki kapital doświadczenia technicznego, nieosiągalnego „za dawnych czasów”.

Spytacie: na co mu to doświadczenie kowalskie na budowie? Okazuje się, że się przydało. W drugim roku sześciolatki Górski realizuje pomysł racjonalizatorski wartości kilku tysięcy złotych. To już skok, którego dokonał właśnie dzięki wiezi, jaka istniała między samodzielną naprawą maszyn rolniczych, a twórczym ulepszeniem maszyny budowlanej. Gdyby maszyny nie wtargnęły na zaforną wieś białostocką, chłopak nie zainteresowałby się nimi. Ten fakt zdecydował o jego zamiłowaniu technicznych. Wyjeżdżając ze wsi, wybrał wszak nie Białystok, wybrał Warszawę — najbliższe mu wielkie „zagłębie budowlane”, gdzie mógł wypłynąć „na szerokie wody TECHNIKI”. I wypłynął ten były pomocnik kowala.

Z. P.

Budowa kombinatu chemicznego w Kędzierzynie.

Foto WAF.

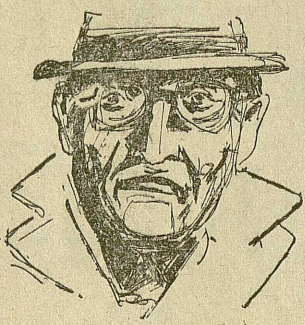
JERZY PYTLAKOWSKI

I TAK MOŻNA ŻYĆ...

Fragment opowiadania z tomu „Opowiadań francuskich” przegotowane do druku.

Tematem jego są zdradzieckie knowania polskich emigracyjnych enegatów we Francji i ich podstępne próby skompromitowania polskich działaczy demokratycznych, którzy posiadają szerokie zaufanie polskiej robotniczej masy wychodźców, widzących swą przyszłość na drodze wspólnej walki ze stałym potężnym francuskim obozem postępu o pokój i socjalizm, patriotycznych i pełnych przywiązania do swej Ludowej Ojczyzny. Część inteligencji, która zawierzyła reakcyjnym „wodzom”, stała się nieuchronnie na samo dno nędzy moralnej i materialnej. Akcja rozgrywa się w 1949 r.

Współpraca z Maciągiem, przynajmniej w pierwszym okresie, polegała na nie nierobieniu. Czerwinski nachodził Karolinę i dusił z niej pieniądze. Z drugiej strony, z czego już się nie zwierzał Karolinie, czynił to samo z Przesmykiem. Oficjalnie, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, Czerwinski utrzymywał fikcyjną już swą zależność od niego. Tym razem sprawa była jasna: miał spiegiwać Przesmyckiego. Początkowo innych poruczeń nie otrzymywał.



Maciąg

Pod koniec lata Maciąg istotnie był bardzo zajęty. Jeździł po Francji. Odwiedził również Côte d'Azur, gdzie spotkał się z samym Andersem.

Anders ukończył właśnie cykl rozmów z przedstawicielami wielkiego kapitału francuskiego. W kołach tych panowało przekonanie, że jesień przyniesie wzmocnienie walki robotniczej francuskich o poprawę egzystencji i że walka ta przyberze formy strajków, aż do generalnego włącznie. Sytuacja socjalno-ekonomiczna w krajach zachodniej Europy stawała się coraz trudniejsza. Ciągła wyższość cen, rezultat polityki ekonomicznej prowadzonej przez USA, zmniejszała realną wartość robotniczych i urzędniczych płac, których nie wolno było podnieść. W ramach bowiem, t. zw., „współpracy ekonomicznej państw objętych Planem Marshalla” Stany Zjednoczone starały się narzucić swym europejskim satelitom jak najniższą stopę życiową dla szerokiej mas obywateli. Rzecz jasna, kapitał francuski nie wyrywał sobie włosów z głowy, że robotnicy mało zarabiali. Jednak lekali się gniewu mas, który zmobilizowałby ich, dotychczasowych właścicieli, z powierzchni ziemi.

Z Maciągiem Anders odbył jedną gorącą rozmowę. Zagwarantował sobie udział w ewentualnych zyskach, uwalniając się całkowicie od odpowiedzialności w wypadku, gdyby powstały jakieś trudności i tarcia, gdyby cała akcja zakończyła się fiaskiem albo też wywołała gniew i niezadowolenie Amerykanów. Maciąg przyjął robotę. Znajdował się w takiej sytuacji, że przysięgał niemal każdą, zwłaszcza zaś zleceną mu przez Andersa, któremu podlegał. W dalszym ciągu już Maciąg targował się z Francuzami. Dobrze poprowadził partię. Wyglądało, jakby wynik akcji zależał od tego, czy on powie „tak”, czy też „nie”. Był pewien siebie, niekiedy dość szorstki, mimo iż hamował się. Szło o cenę. Niektórzy fabrykanci sądzili, że Maciąg będzie żądał zatrudnienia w przemyśle większej ilości Polaków. On jednak ani napomknął o tym. Oznaczono sumę. Część jej została wpłacona na konto bankowe, wskazane przez Maciąga, tytułem zaliczki, dalsza rata miała być przelana po sześciu tygodniach, reszta zaś po zwycięskim zakończeniu akcji.

Maciąg po powrocie z Paryża skontaktował się z Karoliną. Nic nie powiedział o pieniądzach, zaznajomił ją natomiast z tym wszystkim, co zobowiązał się wykonać, przedstawiając to jako francuskie propozycje.

— Chciałbym ratować ich kabzy — mówił zgrzyliwie. — Mam w okresie francuskich strajków prowadzić pracę w fabrykach i kopalniach Polakami.

Karolinę olśniła ta wiadomość. Maciąg wydał jej się bohaterem na miarę Napoleona. Ucisnęła go gorąco, choć nie było to u nich w zwyczaj, by ona pierwsza łamała zwykłą etykietę towarzyską, obowiązującą ich na co dzień.

— Wspaniale! — wołała. — Teraz wszyscy zobaczą, co my możemy i kim ty jesteś. Naprawdę przyniosłeś dobrą nowinę.

Karolina przystąpiła do piwnicy butelkę szampana. Maciąg ciągnął powoli musujący płyn.

— Pięknie — mruknął. — Zblamujemy się...

— Co ci chodzi po głowie? — wykrzyknęła Karolina z bolesnym zdziwieniem. — Co za czarne myśli. Wstydzilibyś się.

Maciąg nie zwracał uwagi na słowa Karolinę. Myślał głośno przy niej. Niekiedy to robił. Przypuszczał, że dlatego właśnie trzymał ją koło siebie, że odpowiadała mu jako słuchacz najintymniejszych myśli.

— Wśród robotników polskich we Francji nie mamy żadnych wpływów. To jest fakt, o którym trzeba pamiętać. Robotnicza komunistyczna kanalia jest przeciw nam. Oni się lu-

dzia... — wykrzyknął krytycznie myśląc o francuskich przemysłowcach. — Tu trzeba policzyć i wojska. Jak nad robotnikami postawi się żandarm — będzie pracował. Wtedy i podwyżka, i ubezpieczenie przestają być problemami. Pewnie, to także kosztuje. Lecz w praktyce wystarczy dać na jedną halę fabryczną jeden ckm. Tacy ludzie jak my, oficerowie, wojskowi, jesteśmy teraz, po wojnie, wciąż tak samo jak w czasie działań wojennych najważniejszym elementem, na którym wspiera się główny ciężar utrzymania państwa. Trzeba nam płacić. Produkcja kosztuje.

A oni ciągle uciekają się do półśrodków. Obstawilibyśmy fabryki ckm-ami i działami, a ręce, że nikt by nie strajkował. Ja jednak nie decyduję o tym.

Więcej robotników nie mamy. Biedota wiejska i miejska polskiego pochodzenia nie pójdzie z nami. Pamiętam w Polsce przed wojną. Ile kłopotu mieliśmy z naszą kanalią, z tą śmieszczą nędzą...

Pozostaje rezerwa, trzymana przez nas specjalnie na takie, jak ta i tym podobne okazje. Zdeklasowana inteligencja bez stałego zajęcia, różnego rodzaju lumpy, ci wszyscy ludzie, którzy nie wiadomo, z czego żyją, a pozostają na tutejszych terenach. Ostentacyjnie, ludzi tych trzymamy na takie właśnie chwile. Staramy się o utrzymanie ich przy życiu, zapewniamy nimi nasze sale w dniu świąt i wiecei, wpływamy na policję francuską, by ich nie zamykała w więzieniach za szachery i wykroczenia, staramy się w nich stale ożywiać słabnącego ducha patriotycznego.

Lecz, czy oni to rozumieją? Czy postrzegają choć w części odwagę, którą nam za to, co uczyniliśmy dla nich? Czy bodaj w takim momencie jak ten, zdolają dać z siebie to, czego oczekujemy od nich?

Czy potrafili oni zjechać pod ziemię i rąbać węgiel, stanąć przy krosnach, prowadzić lokomotywy i auta?

Obawiam się, że nie.

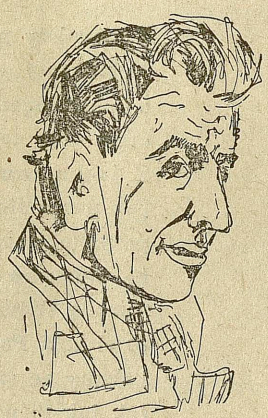
Karolina jednak była pełna optymizmu.

— Chcesz? Poślę po Czerwinskogo — zaproponowała dość nonsensownie, jakby Czerwinski mógł być skutecznym lekarstwem przeciw wszelkim trudnościom i przeszkodom.

Czerwinski biegł do Karolinę, Karolina do Maciąga. Maciąg krzychał, żeby mu nie zawracano głowy. Chodziło o pieniądze. Czerwinski twierdził, że bez pieniędzy się nie da zrobić.

— Plebs nie zna uczucia miłości ojczyzny — tłumaczył. — Trzeba mówić don językiem zrozumiałym. Innej rady nie ma.

I w końcu Czerwinski otrzymał zapewnienie, że może liczyć na pewne, bardzo zresztą skromne subsydia. Wawrzyniak wciąż jednak wymigiwał się od dania definitywnej odpowiedzi. Wynajdywał rozmaite przeszkody, zwałł winę na swych kolegów, o których Czerwinski słyszał po raz pierwszy. Trwało to tak długo, że w przeddzień strajku jeszcze Czerwinski nie był pewien, jak Wawrzyniak się zachowa. Oczywiście, że swą niepewnością nie afiszował się.



Gnidosz

A Maciąg? Maciąg już przyjął zobowiązanie druku w dniu strajku kilku dzienników paryskich.

A więc jedynie Czerwinski orientował się w sytuacji. Wieczorem dnia poprzedzającego strajk udał się do kłiti zajmowanej przez Wawrzyniaka. Z prawdziwym żalem zdecydował się ofiarować linotypiste część sumy otrzymanej od Karolinę. Wawrzyniak spokojnie przyjął tę propozycję.

— Pieniądze, to pieniądze — rzekł. — Ale niech mi pan wytłumaczy, że pan, że wy macie rację. Wtedy pójdę z wami...

Czerwinski załamał ręce.

— Jutro strajk, dzień wielkiej próby dla nas. Coż to, dalsieście się zlapać komunistom?

— Złapać, złapać... A czy to prawda, że pan pracuje dla policji francuskiej?

— Panie Wawrzyniak, co też panu po głowie chodzi?

— Mnie? Nie mnie... Iksa to mówić.

A teraz Iksa odesłali do Polski. W gazetach polskich piszą, jak go katowali, żeby wydobyc nieprawdziwe zeznania. Iksa pana oskarża o to...

— Iksa? Ten?

Czerwinski zmieszał się.

— A ten, ten... Już i jego córka pojechała do Polski za nim. Mówi pan, że on jest komunistą. Możliwe. Ale on jest porządnym człowiekiem. W szpicie nie bawi, donosów przeciw robotnikom nie robi. Co mi więc pan proponuje?

— Dobrze. Dostanie pan, panie Wawrzyniak, dwa razy więcej. Ale o robocie. Gdy wszystko będzie załatwione na sto dwa, pieniądze pójdą z rąk do rąk...

— Ca va — mruknął Wawrzyniak, trzając tempo w podłogę.

Czerwinski wyciągnął rękę, by uściśnić dłoń przypiętą do zegarka, linotypista jednak najwidoczniej nie zauważył tego gestu. Podszedł do wie-

szaka i zaczął wkładać kurtkę i czapkę.

— Kiedy tak — powiedział — idę na miasto.

Czerwinski pełen zadowolenia powrócił do siebie. Nie dane mu było wszakże długo zająć spokoju. Przybiegł profesor Gnidosz.

— Panie Eugeniuszu — wołał od progu — na pomoc. Moja żona schowała mi buty.

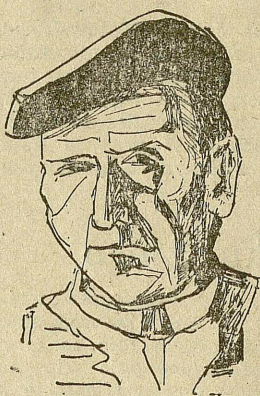
— Dlaczego? Z jakiego powodu?

— Żeby mi uniemożliwić opuszczenie mieszkania w dniu jutrzejszym.

— Ona nie chce, żeby pan wychodził?

— A nie chce.

— I nie może pan jej wytłumaczyć, żeby nie robiła głupstw?



Czerwinski

— Nie mogę, gdyż nie mówię do niej. Jesteśmy pogniwani.

Gnidoszowa istotnie szalała. Doktor Rudolf siedział na łóżku w kucki, najwidoczniej starając się zajmować jak najmniej miejsca i zwracać jak najmniej uwagi.

— O, wrócił. Przyprowadził swojego monsieur le patron — zawołała Gnidoszowa na widok męża i Czerwinskogo. — Monsieur le patron — zwróciła się do Czerwinskogo — więc pan sobie życzy, żeby mój mąż był w dniu jutrzejszym lamistrajkiem?

— Dziwiał mnie te słowa w pani ustach — wycedził Czerwinski. — Profesor nie jest robotnikiem, w wypadku więc, gdyby w dniu jutrzejszym brał udział w akcji społecznej podtrzymywania ruchu w metro, nie może być mowy o łamaniu strajku...

— On nie jest robotnikiem, ale ja jestem robotnicą. Pracuję w pakowni leków. Czuję pan ten smród? — podsunęła rękę pod nos Czerwinskogo. — To moja praca tak śmierdzi. A ten — wskazała na męża — obraził się na mnie, że mu z głodu zdechnąć nie daje. Idź pan do swoich wódzów i powiedz im w moim imieniu: wykiwa!ście nas niezgorzej. Więcej teraz nie wręcajcie się. Ja już dawno wróciłam do Polski, gdyby nie on, ten mój mąż i jego „starczy lek przed każdą zmianą”.

— Ireto — szepnął zgorzchniony Gnidosz.

Było to pierwsze słowo wypowiedziane przezeń do żony od czasu, gdy zaczęła pracować.

Przemówił do mnie? Przemówił? Odezwał się mój pan i wdawa — wołała Gnidoszowa, wzdychając pod bok. — A może był lepiej list napisał? He? Butów i tak nie dostaniesz. Ładnie ja wam wyglądała, żeby moje koleżanki z pracy dowiedziały się, że mój mąż jest lamistrajkiem. Nie miałabym po co pokazywać się w pakowni. Sprawa załatwiona: butów nie dostaniesz i koniec.

Odrzuciła się plecami i zniknęła za przepierzeniem.

— Doktorze — szepnął Czerwinski pan powinien coś powiedzieć...

— Ja? Dlaczego? Doktorem byłem przed laty. Teraz jestem tragarzem na halach. Nie wierzę wam. Nigdy wam nie wierzyłem, lecz, gdy człowiek jako tako żyje, bardziej jest skłonny do pooblaźliwości. To nie znaczy, że wierzę komu innemu. Lecz to znaczy, że na mnie nie powinniście liczyć. Nie jestem jeden. Takich jak ja, inteligentów czy pseudointeligentów, których kapitalizm odrzucił, a którzy do komunizmu nie doszli, jest zwłaszcza tu, na zachodzie, wielu. Tworzymy rezerwową armię, bez uzbrojenia, która kiedyś może zyska siłę, lecz nie dla was. To wam mogę powiedzieć z całą pewnością. Przez was straciliśmy ojczyznę, straciliśmy swoje miejsce na ziemi — stałymi się lumpami, zapartymi w przestrzeń, bez nadziei na jutro... Tego nigdy wam nie darujemy...

Pele mele — odezwała się za przepierzenia Gnidoszowa. — Pan to pięknie tłumaczy. Ale ja panu Czerwinskemu powiedziałabym inaczej. Ja panu nie będę pomagać w zarobieniu w nieczysty sposób kilku czy kilkunastu tysięcy franków. Pracuję jak ja, jedź do Polski, rób, co chcesz wreszcie, ale tu nie przychodzą jako pośrednik w nieczystych interesach, bo nie z tego nie będzie.

Po co to wielkie słowa. Najlepiej powiedzieć jak jest. Na nas nie zarobisz. Najlepiej szukać gdzie indziej... Czerwinski przemierzał tam i z powrotem pokój, długi dokładnie na dwa jego kroki.

— No, — szepnął profesor, rozczarowany przedłużającym się milczeniem Czerwinskogo — co będzie z moimi butami? Co będzie z dniem jutrzejszym? A nuż by mi się udało otrzymać pracę w metro?

Doktor Rudolf uśmiechnął się.

— Oto znany lingwista i muzykolog, profesor Gnidosz, robi karierę na gruncie paryskim. Szczyt jego marzeń: zostać pracownikiem metra...

Czerwinski oknął się.

Tak nie można, moi państwo, nie można — przemówił. — Do tych spraw trzeba podchodzić inaczej, bardziej po polsku, po naszymu — patriotycznie.

— Ja ci dam patriotyzm! — rozkryczała się ponownie Gnidoszowa. — Ty mi tu nie mów o patriotyzmie! Wynos się, bo cię wyrzucę. Ile ci płacą twoi wielcy politycy, z których każdy za-

robił na swym „wielkim patriotyzmie” nie licho? Wynos się, bo natychmiast cię wyrzucę...

Czerwinski nie czekał na dalszy ciąg.

— Niech pan pójdzie z mną, profesorze, pożyczę panu moich butów — szepnął. — Pańska żona jest cośkolwiek nerwową...

Jednak w pokoju Czerwinskogo Gnidosz zaczął okazywać dziwny brak zdecydowania. Kręcił się po pokoju, coś mruzczył do siebie. Buty mu się nie podobaly. Były za duże.

— Wie pan co — powiedział. — Wróć do siebie. Doktor idzie do roboty, nie będzie mi miał kto otworzyć...

— Idzie? Nie idzie. Przecież strajk.

I pan zaczyna się wykręcać... Doprawdy, z takimi ludźmi trudno coś przeprowadzić do końca...

— Dlaczego... dlaczego pan tak mówi? — wyszeptał Gnidosz już przy drzwiach.

Kuśtykał pośpiesznie po schodach. Stracił wiarę w Czerwinskogo.

Czerwinski natomiast długo w noc liczył pieniądze, przemysłowi, jak Wawrzyniakowi zmniejszyć obiecaną sumę, by dla niego więcej zostało, i kalkulował — jak będzie mógł zużytkować owe otrzymane od Karolinę pieniądze. Zasnął, sam nie wiedział kiedy, nad tymi rachunkami. Rano obudził się późno, tak mu się zdawało. Spojrzył na zegarek. Była dopiero dziewiąta. Uspokojony ogolił się, umył, zagrzebał na spirytusowej maszynce wodę na herbatę. Podczas śniadania zastanawiał się, co właściwie powinien robić. Gnidosz i jego feralna odpadli. Dobrze. Lecz jak się dowiedzieć, co z Wawrzyniakiem? I dlaczego Wawrzyniak nie przyszedł dać znać?

Spieszył wybiegł z pokoju. Wawrzyniaka nie było. Czerwinski stuknął długo do drzwi. Zbiegł do Sommerville'ów.

— Monsieur Wawrzyniak? — powiedział Sommerville'owa. — Nie, nie widziałam go dzisiaj.

Sommerville zaś, widząc, jak bardzo zależy Czerwinskemu, by zobaczyć się z Wawrzyniakiem, dodał:

— Wawrzyniak? A on nie wyjechał? Mówił mi, że wyjeżdża na jeden dzień. A może mi nie mówił? Może ko innemu?...

Sommerville nienawidził Czerwinskogo i nie darował żadnej nadarzającej się okazji dokuczenia mu.

— Wyjechał? Skądże. Niemożliwe. Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Uciszył się, już miał krzyknąć: „co słysza, panie Wawrzyniak”?, gdy spostrzegł, że owi mężczyźni otaczają go. Obejrzał się. Od bramy dzieliło go dziesięć kroków. Lecz w bramie stał Sommerville'owie i szofer Roderie. Właśnie z „chambres meublées” wychodził Damasseau i pięciu młodych ludzi, którzy niedawno tam się wprowadzili. Mężczyźni utworzyli dwuszek.

— Ooo! — podniósł krzyk. — Uciekacie? A może temu tu — wskazywali Czerwinskogo — pomożecie? Nie? Boćcie się?

Wyszedł na ulicę. Stał przed domem. Nie wiedział, co robić. Dokąd miał iść? Gdzie szukać Wawrzyniaka? Bez dozwolenia władz nie mógł w Wawrzyniaku nie miał się przebiec po co do Karolinę pokazywać. Stał tak nie mogąc się zdecydować, na skraj chędnika. Wtem z wnek okolicznych bram poczęli wychodzić jacyś mężczyźni. W jednym z nich Czerwinski rozpoznał Wawrzyniaka. Ucis

DEMIAN BIEDNYJ

MOSKWA — WARSZAWIE

Warszawie wyzwolonej salut braćni!
Na radość bije dzisiaj strzał armatni
Jak sygnał uroczysty ery świetnej...
Tak ze stolicą rozmawia stolica
I tak w zimowym niebie błyskawica
Zwyczajnym blaskiem ciemne chmury przetrnie

Warszawę szarpał wróg jak bestia wściekła.
Rzekłabyś: już nad nią czarna śmierć zawisła
A oto żyje wolna, niepodległa
I szczęsną falą gra u stóp jej Wisła.
Moskwa Warszawę wita uroczysto,
A pozdrowienie bliskie słyszełście
Jak słowo, w którym treść ogromna legła.

Mówią stolicy nie o starej waśni,
Nie o przeszłości dniach zniechędzonej,
Lecz o przyjaźni, która nie wygaśnie,
O wspólnych walkach, związku niewzruszonym.

Niechaj więc trwa przez długie, długie lata
Związek przyjaźni mocny i serdeczny,
Niech słońce promienista i skrzydłata
Okręży sojusz Moskwy tak walecznej
Z demokratyczną i wolną Warszawą
Współtowarzyszką walk, znaczonej sławą.
17 stycznia 1945 r.

WŁODZIMIERZ ZAMIATIN

WARSZAWA

Świt. Syreny buczą. Wieje dymem.
Ludzie wprowadzają się do domostw.
Tu byłem w czterdziestym piątym

Wśród ruin, sterczących nieruchomości.
Szedłem do Warszawy aż z Tambowa,
Z ognia w ogień,

z bitwy w nową bitwę..
Tu straciłem druha w surowej
Walce

na ulicy, którą idę.
Kroczę znowu śladem wojny krwawej
Nie, że pułk mój

do cywila poszedł!
Chwilę tamtą, kiedy brałem Warszawę,
Dziś

utrwała medal, który noszę.
Oto jest

stolicy mowa bliska,
Dzwonne bruki, głośny oddech żywych,
Przeżen ulic w promieniach błyskach
I natchniona

muzyka porywów.
Tej muzyki sercu słuchać miło,
Bo pieśń głośna

śpiewa las rusztowań.
Pręż się ku niebu z młodą siłą
Każdy świeży gmach

Warszawy nowej.
Ciągnie cię, gdzie jasność

gwiazdolitą,
Szczęście wywalczone,

dnie w spokoju.
Tak, w socjalizm

dzis.
Rzeczpospolita

Zdąży drogą

moich krwawych

bojów.
Oto idzie

o wlośennym ranku

Cichym krokiem

stapając muzycznie

Jasnowłosa, zamyślona pani,

A na rękę

ma dzieciątko śliczne.

Dla nich

brałem miasto w bojach ostrych

Rzekłabyś,

dzieje świeże i niedawne..

A szła ze mną Rosja —

starsza siostra

Miłującej wolność Polski sławnej.

Oświetlając drogi i dzień przeszły

Medal lśni

w promieniach dumnej sławy.

Przyozdabia w Rosji piers żołnierzy,

Głosząc:

„Za

wyzwolenie

Warszawy“

MIKOŁAJ TICHONOW

WARSZAWA — MIASTO POKOJU

Warszawę widziałem zimą
W roku pięćdziesiątym:
Śniegu stos, mrok nocy płynął,
Z okien lśnił blask wiatry...

Zrazu oczy wpół przymknąłem,
Ale mi wybacze:
Przechodziłem dookoła
Bojąc się popatrzyć.

Bąłem się, że ujrzę może
Cień dawnej Warszawy,
Ścian spalonych czarną zgorzel
I gruz cegieł rdzawych...

Thumię lek i patrzę śmiało:
W lamp świetlistym blasku
Rosło, żyło, pracowało
Odrodzone miasto!

Dzisiaj może nas zadziwił
Miasto, które rośnie,
Wolny trud ludzi szczęśliwych
I śmiech brzmiący głośno.

Tam, gdzie w imię życia naród
Stolicę podźwignął,
A gruz obok prochem narósł
Nie będąc czymś zwykłym —

Gdzie stos martwy żelazwa
I ślad min głęboi —
Winien kongres się odbywać
Walczący o Pokój.

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEV

Wiersz pisany w czasie Kongresu Pokoju w Warszawie.

W siódmą rocznicę styczniowej ofensywy i wyzwolenia Warszawy

BUDOWA STOLICY

Mówiąc więc o planie rozbudowy Warszawy, nie można nie mówić o jej budownictwie. To oni będą budowali nową Warszawę, to od ich postawy, wysiłku, intuicji i energii twórczej zależeć będzie taki czy inny wynik realizacji tego olbrzymiego programu. Od ich metod pracy, od ich sprawności, od ich talentów organizacyjnych i artystycznych, od ich ofiarności, zapału i patriotyzmu zależeć będzie — jak będzie wyglądała stolica Polski Ludowej. Partia nasza, tworząca program budownictwa socjalistycznego i kierująca jego wykonaniem, musi w pierwszym rzędzie otoczyć głęboką, serdeczną troską, opieką, pomocą, swym codziennym kontaktem wykonawców tego programu.

*

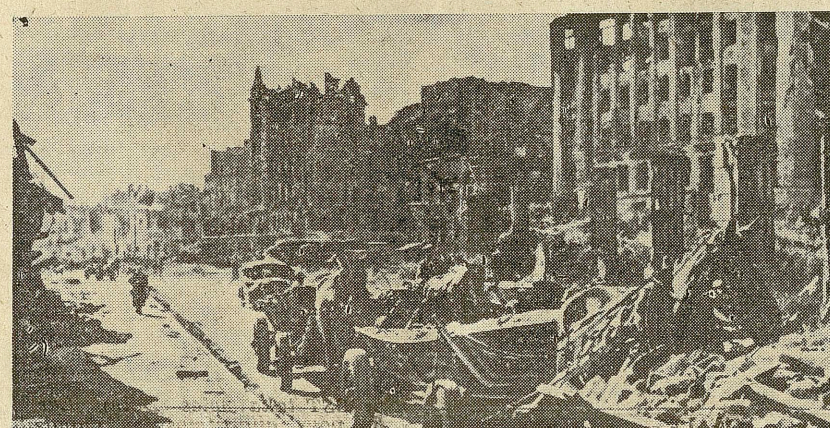
Nowa Warszawa ma stać się stolicą państwa socjalistycznego. Walka o oblicze ideologiczne naszego miasta musi być prowadzona z całą świadomością i wyłączeniem wszystkich sił w tym kierunku. Nowa Warszawa przez rozwinięcie w niej przemysłu musi stać się poważnym ośrodkiem produkcji, miastem robotniczym.

BOLESŁAW BIERUT.

Trudny powrót

Do Warszawy ludzie spływali wtedy tysiącami. Drogi były rozświetlone zimowym słońcem. Ostre czerwone blaski lizały pnie przydrożnych, pogarbionych drzew i głębokie, od razu zamarzające rowy, wyłożone przez działa i transporty.

Warszawa była wtedy jednym wielkim trupem powstańcym, zniechędzonego na barykadzie. Krew już dawno wsiąkała w grunty powierzchni śniegu i ziemi. Rozbiegły się po całej Europie te ciała krwi — jej ludzie. I tylko inni, zakrzepnięci w lagrach i na tułaczce, może zaropili na obecnej ziemi i upodleniu. Ale teraz ta krew ożyła, zawrzała, łączyła się w strumyczki, strumienie, strugi, żłobiła nurt co-



raz silniejszy, niepomahowany, zwycięski. Krew wlewała się potężną falą w rozkrzyżowane, patrzące tylko z osłupieniem w niebo szczyby murów, w porożnięte przez wybuch bomb i dynamit barykady.

Szli zewsząd, z zachodu, ze wschodu, z północy, z południa. Warszawa. Pojęcie, o którym mówili im obcy, iż jest tylko czerniałą ziemią po przejściu czterech jeźdźców. Pojęcie, które mówiło o bólu, cierpieniu i groźbie ludzkiej!

*

Tak — byłem jednym z niedowiarów. Kiedy powróciłem do Warszawy w styczniu 1945 r., po pierwszym uczuciu głębokiego oszołomienia, jakie przeżywałem, błędnie zasypanych gruzem ulicami i patrząc na wietrzącą się z każdym dniem postępową, szare profile potarganych bombami i wypalonych ogniem domów, zacząłem szukać, odtwarzać w pamięci wizję wygasłego miasta. Szukałem miejsc drogich, jak każdy z nas — poszedłem włokąc się wypalonym Krakowskim Przedmieściem w stronę Starego Miasta. Na Placu Zamkowym jaśniało błękitem o przymieszce stali chłodne zimowe niebo. Wisła dojrzała spoza ruin zastępną w bieli. A wokół tylko zgłiszczająca i piętrząca się zwały cegieł i rumowisk. Kolumna Zygmunta jak ociosany, zwilgnięty na deszczu pień olbrzymiego drzewa, leżała strząskana na placu, mury Zamku, ciśnięte na ziemię jak skorupy pokrywał śnieg, w

ciężka, namokła śniegiem, a ileż takich cegieł leżało na ulicach i placach Warszawy? Rozmiar klęski wydawał się ponad nasze siły. Pozostawał jedynie płacz i tęsknota za miastem. Trzeba było mocno wierzyć w człowieka, aby pośród zgłiszcz dojrzał zarys jakiegokolwiek miasta.

*

1 lutego 1945 r. na ul. Śnieżnej, zakopconej dymami Pragi ulicze, w budynku jednopiętrowym, zimnym i nieopalanym zebrał się rząd i prezydium KRN na wspólne posiedzenie. Za Wisłą — leżało miasto w gruzach. Przez okienne, którymi zastąpiono szyby wybite w oknach, wlekał się ostry porwisty wiatr. Dyskusja trwała długo, analizowano sytuację: Kraków i Łódź, większe ośrodki miejskie, które dzięki strategii Armii Radzieckiej wyszły z zimowej ofensywy niekierunkiem, pretendowały teraz do funkcji stolicy, która leżała całkowicie zniszczona. Ulice zasypane niewymierną ilością gruzu, wypalone ściany domów, stanowiące jedynie materiał rozbiórkowy, świadczyły o tym, że miasto jako takie nie istniało. Na peryferiach Warszawy — na południu jak i na północy — wiele osiedli nadawało się do natychmiastowego remontu — to było wszystko. Odejść z Warszawy, przenieść stolicę gdzieś indziej, znacząco skazało miasto na zagładę. Wyjściem naprzeciw była decyzja pozostania tu na miejscu i walczenia o nowe miasto²⁾.

*

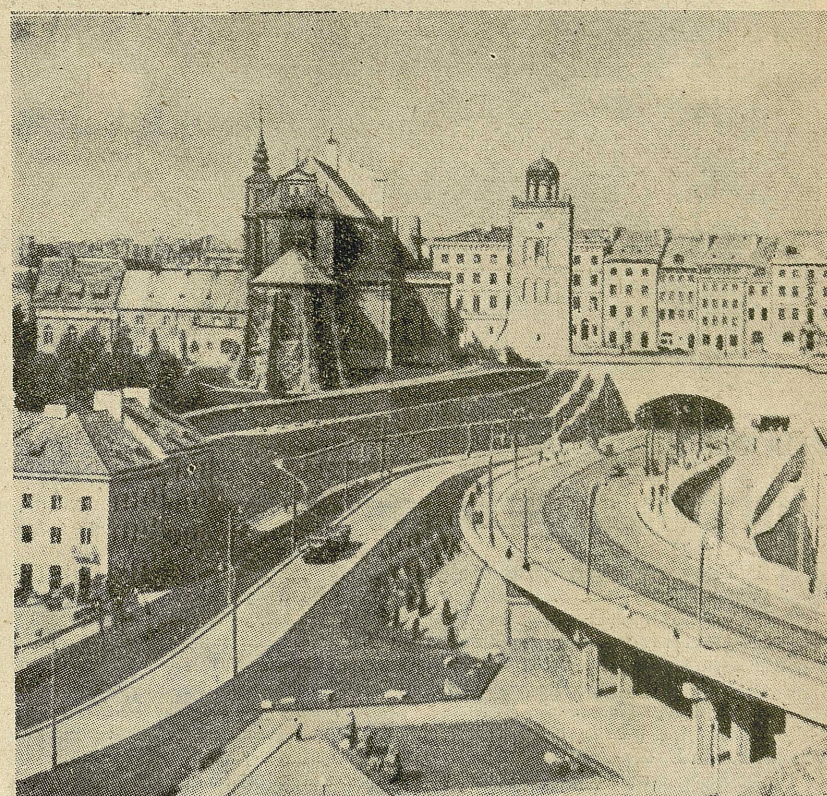
Jakiś jest główny sens budowy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej — MDM?

Co wysuwa tę budowę, to przedsięwzięcie, na jedno z czołowych zadań Warszawy w Planie Sześciolatnim?

Po pierwsze: W mieście socjalistycznym — centrum miasta jest jednocześnie ideologicznym, centralnym jego punktem, MDM — to jedno z głównych baz ideologicznych centrum socjalistycznej Warszawy, od której budowa centrum rozpoczyna się.

Po wtóre: MDM — to zmiana składu ludności śródmieścia Warszawy. Na Marszałkowską i do całej Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, do najlepszych, najpiękniejszych mieszkań przyjdą na miejsce klas pasywnych — ludzie pracy, wybitni przodownicy pracy i racjonalizatorzy, czołowi przedstawiciele inteligencji pracującej.

Po trzecie: MDM — to zmiana charakteru śródmieścia. Z dzielnicy handlu rozdrobnionego, przy-pakowego handlu, handelku, fa-



wysilków z wynikami wskazuje nieuchronnie na to, że trzeba będzie odrzucić dawne doświadczenia jak zbędny rekwizyt i szukać nowej miary, nowego sprawdzianu.

Ale nie rozumieją tego i zrozumieć jeszcze nie mogą ludzie postronni. Dla nich pierwsze kroki w przyszłość, stawiane przez architektów, wydają się utopią. Dla nich

Jak syrena z wiślanego piasku

Gdy się tak idzie znajomym szlakiem, pomieszczenie wspomnień z nowymi wrażeniami napienia zdziwieniem i daje to najprzejrniejście uczucie, jakie się ma wychodząc po raz pierwszy na ulice nieznajomego miasta w podróży. Takie każde przejście ulicami Warszawy jest podróżą — tą-jącą w sobie więcej wrażeń niż przemierzanie obcych choć pięknych krajów.

Tutaj, gdzie teraz stoi wyniosły dom PZPR — pamiętam w 1902 r. wznieśliśmy pierwszy „secesyjny” dom w Warszawie — i chodziliśmy specjalnie go oglądać. Dziwili skrzynki na kwiaty przy oknach, zdobione blaszanymi liśćmi kasztanów, powyższone oparcia balkonów. Dzisiejsza spokojna elewacja i duża przestrzeń przed domem Partii jakże się wydają odmienne od tamtej, podziwianej nieco, wiedeńskiej nowości. Prawie naprzeciw, pałac Poznańskich (Lubomirskich) wraca do dawnej świetności, szczęśliwy, że się pozbawił ohydnej pseudo-gotyckiej kamienicy w sąsiedztwie. Plac Trzech Krzyży trochę miasto, trochę miasteczko, trochę nawet stolicy — odmienia ruinę kościoła świętego Aleksandra, która przypominała rysunki Piranesiego, na krągłą rotundę o szlachetnym kształcie. Nowy Świat — gama różowych i kremowych domków biegnących precyzyjnie zakreślonym łukiem. Na pałacu Staszica kopułka pokrywana miedzia, uwieczniona „drzewkiem” ozdobionym wstążkami — znak zakończenia budowy. Wiele takich „drzewek” spotyka się po drodze. U stóp pomnika Koper-

realna jest tylko Warszawa wczorajsza, brama w drugim czy trzecim podwórku, ciemne, zateżnione schody i to mieszkanie „frontowe” zawieszane nad hałaśliwą ulicą, dudniącą we dnie i w nocy, pełną kurzu i zaduchu. I ten balkon zagubiony na którymś tam piętrze w kamiennej pustyni, owinięty naiwną zielenią groszków i nasturcji.⁴⁾

Ala to wszystko jeszcze jest Warszawa, piękniejsza, nowa, wynurzająca się z mułu ruin jak syrena z piasku Wisły, ale Warszawa. Pełno tu rzeczy znanych, znanych, nie tylko zresztą pięknych. Z chwilą jednak, kiedy przekracza się płot z napisem: „budowa trasy W—Z, wejście wzbronione”, przechodzi się do innego, specjalnego, bardzo dziwnego i bardzo pięknego świata. (Wzbronione nie jest tak groźne, co krok spotyka się ludzi, którzy tak samo weszli jak i ja, i tak samo zagapieni i zdziwieni nie wiedzą, gdzie się znajdują). To także jest Warszawa, ale nie taka Warszawa, jaką znaliśmy w przeszłości: to jest Warszawa śmiały, nowych pomysłów, pracowitych urzeczywistnień, słowem — Warszawa przyszłości.⁵⁾

Rozstrzygające zadanie

POŚRÓD tych zadań nie trudno wybrać te, których realizacja rozstrzygać będzie o całości.

Jak w latach 1945—46 takim rozstrzygającym zadaniem — skokiem — była odbudowa mostu Pomiatowskiego,

jak w latach 1948—49 rozstrzygającym zadaniem — skokiem — była budowa trasy W—Z,

tak w latach 1950—51 i następnych rozstrzygającym zadaniem winno być i będzie zbudowanie Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Te wielkie realizacje nie są oczywiście oderwane od całości budownictwa warszawskiego. Są jego wynikiem i siłą napędową jednocześnie. Są wynikiem masowego ruchu współzawodnictwa pracy i racjonalizatorstwa, nowych metod szybkościowych i potokowego budowania.

Jakiś jest główny sens budowy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej — MDM?

Co wysuwa tę budowę, to przedsięwzięcie, na jedno z czołowych zadań Warszawy w Planie Sześciolatnim?

Po pierwsze: W mieście socjalistycznym — centrum miasta jest jednocześnie ideologicznym, centralnym jego punktem, MDM — to jedno z głównych baz ideologicznych centrum socjalistycznej Warszawy, od której budowa centrum rozpoczyna się.

Po wtóre: MDM — to zmiana składu ludności śródmieścia Warszawy. Na Marszałkowską i do całej Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, do najlepszych, najpiękniejszych mieszkań przyjdą na miejsce klas pasywnych — ludzie pracy, wybitni przodownicy pracy i racjonalizatorzy, czołowi przedstawiciele inteligencji pracującej.

Po trzecie: MDM — to zmiana charakteru śródmieścia. Z dzielnicy handlu rozdrobnionego, przy-pakowego handlu, handelku, fa-

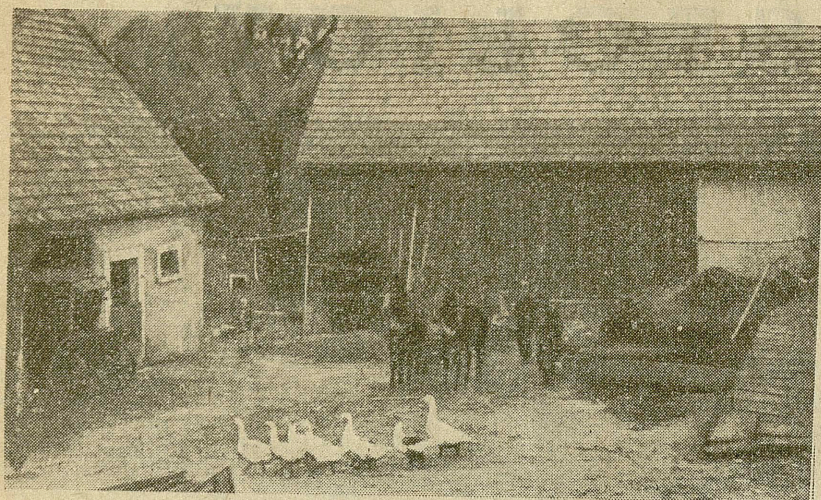
byczek w centrum miasta, składow, warsztatów — przechodzimy do świadomego zaplanowanego, wielkomięskiego reprezentacyjnego ośrodka handlu socjalistycznego, który obsłuży nie tylko masy ludności Warszawy, ale również przyjeżdżających z całego kraju do swojej stolicy. Będzie to nie tylko miejsce wielkich, nowoczesnych sklepów, kawiarni, restauracji, barów — oświetlonych wnętr, wystaw i neonów, ale będzie to również tradycyjny szlak kin, teatrów, klubów.

Po czwarte: MDM — to nowa skala i nowe formy architektoniczne śródmieścia Warszawy, odpowiadające nowej jego treści, nowemu trybowi życia MDM nawiąże do starych, dobrych tradycji ulicy Marszałkowskiej, z odrzuceniem burżuazyjnej zgłizmy, kontrastu bogactwa i nędzy, a ze wzbogaceniem wszystkiego, co było dobre w tej części naszego miasta.

Po piąte: MDM — to pierwsza i największa realizacja centrum mieszkaniowego Warszawy, obok dotychczasowych, zaawansowanych już w budowie wielkich i ważnych dzielnic i osiedli mieszkaniowych, jak Muranów, Młynów, Nowe i Stare Miasto, Mirów, Mokotów, Koło, które mają charakter niemal wyłącznie mieszkaniowy i nie biorą żywego i podstawowego udziału w wielkomięskim życiu społecznym stolicy.

Budowa Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej — to porywające zadanie MDM już w pierwszych latach Planu Sześciolatniego — winna stać się dla tego wspaniałego planu tym, czym była trasa W—Z dla Planu Trzyletniego.⁶⁾

Fragmenty z artykułów: 1) Jerzego Piórkowskiego; 2) Lesława Bartelskiego; 3) Jerzego Andrzejewskiego; 4) inż. Romana Piotrowskiego; 5) Jankowskiego; 6) inż. Józefa Sigalina.



STANISŁAW CIESLAK

Zakopani w gospodarstwie⁽¹⁾

MA 10 ha, dwa konie, z pewnością kilka sztuk bydła. Kontraktuje len, konopie, kolender, buraki cukrowe (dwa i pół ha białego złota!), nie zapomina o bardzo opłacalnym tytoniu. Kontraktuje również 13 świń. W pracy społeczno - politycznej udziału nie bierze, choć należy oczywiście do ZSCh. Pracy najmniejszej nie wykazuje, trzyma przecież przy sobie na gospodarstwie troje dorosłych dzieci...

"Jestem rolnikiem nie z przymusu ale z zamiłowania, przywiązaniem nie tyle do ziemi, ile do tych owoców, jakie z niej zebrać można, a umiem dobrze zorganizować pracę w domu i na polu i temu zawdzięczam swe powodzenie" - wyznaje z zadowoleniem drugi, choć ogrom pracy i wiek, tej pracy poświęcony, uniemożliwiają czytanie i kształcenie syna - spadkobiercy, i branie udziału w życiu społecznym gromady...

"Trzymam na 13 ha, 2 konie, 6 krów i co najmniej 23 sztuki świń, zebrałem pszenicy 35 q, żyta 32 q, owsa 30 q z hektara, i spoglądam z dumą na przebytą drogę" - donosi trzeci...

Oto rysują się przed nami jakże wyraźnie sylwetki tych ludzi, od świtu do nocy zakopanych w swych gospodarstwach, mocną ręką utrzymujących swe rodziny w kieracie codziennych gospodarskich obrządków (obrobic takie 2,5 ha buraków cukrowych, czy oporządzać 23 świnię, to naprawdę nie fraszka!), ludzi pochłoniętych bez reszty sprawami produkcyjnymi, kradnących czas na życie rodzinne, społeczne, na wypoczynek, na zabawę, ogromnie wrażliwych na wszelkie nieporządki czy to w gospodarstwie czy to w państwie, którzy by mógł rościć równy bieg ma, chiny produkcyjnej ich gospodarstwa.

To średnicy, centralne figury naszego rolnictwa. Jest ich przecież na Ziemiach Odzyskanych od 60% (wrocławskie) do 72% (olsztyńskie), w rejonie środkowo - zachodnim (poznaniańskie, bydgoskie, gdańskie, część warszawskiego i łódzkiego) - 52%, w rejonie środkowo - wschodnim (białostockie, część kieleckiego i lubelskiego, reszta warszawskiego i łódzkiego) - 58%, w rejonie południowo - wschodnim (krakowskie, rzeszowskie, reszta lubelskiego i kieleckiego) - 33% ogólnej liczby gospodarstw. Oni decydują w tej chwili w dużym stopniu o towarowej produkcji rolnictwa. Od ich postawy zależy szybkość wyjścia z obecnych trudności aprowizacyjnych, od ich przekonania zależy w dużej mierze przebieg w przebudowie naszego rolnictwa.

Są oni ostrożni, często nieufni. Na zebraniach zabierają głos raczej rzadko, ale jak już zabiorą, to zwykle z sensem. Lubią słuchać o nowych fabrykach, o rozbudowie przemysłu, ale wolą je oglądać i dotykać, a najbardziej oglądać i kupować nowe produkty tych fabryk. Liczą, rachują, porównują... Nikt tyle co oni, nawet biedniejsi od nich, matornieli, tyle się nie nagada na temat różnicy cen między żywym a mierzem, zbożem o śrutu itp. Ogromnie się wrażliwi na braki w zaopatrzeniu, nie bardzo jeszcze rozumieją konieczność ograniczonej, choć stałej sprzedaży np. cukru, przyzwyczaili się bowiem kupować od razu dużo.

Jeśli są pozbawieni opieki i pomocy klasy robotniczej i biedoty, łatwo ulegają kumoterstwu i podstępom kulakom, zwłaszcza w komitetach członkowskich i GS. Gdy uchodzą na mosty (i na te prowadzące przez rzekę i te prowadzące do spółdzielczości produkcyjnej) próbują zawsze nogę, czy mocne. Ale jak się już przekonają i wezmą do jakiej pracy społecznej, to jest na co popatrzyć, robota aż furczy...

Czy należy ich zachęcać do dalszego wzrostu produkcji? Rzecz jasna, że tak. W warunkach władzy ludowej, regulującej rolę państwa na rynku, ograniczenia obrotu ziemią, społecznego kontrolowania sposobów wykorzystania środków produkcji (maszyn!) itp. SAM TYLKO DALSZY WZROST PRODUKCJI ICH GOSPODARSTW nie uczyni ich kulakami i wykorzystawcami. Trzeba więc ich nie tylko zachęcać, ale im do tego wzrostu produkcji pomagać. Ale chyba nie tak, jak myśli ob. Rogowski, aby zamknąć perspektywę dalszego rozwoju rolnictwa i dostosować produkcję maszyn do potrzeb TYLKO drobnego i średniego gospodarstwa.

Ala trzeba, aby ob. Spychała i inni średnicy zastanowili się (a cała praca naszego agencji terenowego powinna im w tym pomóc), co będzie jeśli oni sami i ich żony staną się niezdolni do pracy wskutek starości lub choroby? Jeśli ich dzieci wyrwą się z tego kierunku, szukając wykształcenia i awansu społecznego,

sięgając po pracę poza rolnictwem, zwłaszcza w przemyśle, gdzie człowiek dziś ma czas i możliwości i na życie rodzinne, i na życie społeczne? Czy sięgną wtedy po stałych najemników? Czy przejdą do obozu wyzyskiwaczy i postawią się sami poza nawias ogromnej większości narodu? Czy nie szkoda ich pracowitości, ich gospodarności, ich cennego doświadczenia produkcyjnego na pracę w średnim gospodarstwie, wysysającej z człowieka wszystkie sily?

Czy nie lepiej i nie korzystniej wyręczyć się maszyną, pracować zespołowo, w warunkach wyższej - ob. Łado - i jeszcze lepszej od Waszej organizacji pracy, w warunkach wielkiego gospodarstwa i większej od waszej - ob. Spychała - hodowli, którą tak wysoko i słusznie cenicie?

Nie wierzyć kulakom, którzy Was, ludzi pracy, usiłują nastraszyć i zniechęcić do zespołowej gospodarki, w swoim, a nie w Waszym interesie. Bo to jest jedyna droga, na której wspólnie z biedotą większą pod przewodem klasy robotniczej możecie dojść do lepszego, kulturalniejszego, swobodniejszego życia. Tej drogi klasa robotnicza Wam nie narzuca, chce Was przekonać i jest gotowa szukać porozumienia co do konkretnych sposobów i dróg prowadzących do gospodarki socjalistycznej w rolnictwie i utrwalających ją. Średniolny chłop jest przecież SOJUSZNIKIEM KLASY ROBOTNICZEJ i o tym trzeba zawsze pamiętać.

Większość z tych naszych, omawianych dziś, korespondentów napisałi ludzie starsi, którzy przeważnie nie zdobyli w dawnych latach ucisku i niewoli kapitalistycznej większego wykształcenia formalnego, ręce im - jak mówią - zgrubiały w pracy, z trudem sięgają sami po pióro. Dlatego i ob. Jamnik i ob. Łado i ob. Spychała wyreczyli się przy pisaniu listu ręką swego dziecka, kładąc na końcu tylko swój podpis.

Barzą nas to cieszy, bo liczymy na rozsądek tych dzieci. Czy Wam, ob. Łado młodszy, nie zadrżała ręka, gdy pisałeś do nas pod dyktando ojca, że ogrom pracy w 10-hektarowym gospodarstwie uniemożliwia mu kształcenie syna?

Czy poza wspaniałymi wynikami produkcyjnymi ob. Kuklińskiego, nie kryje się nadmierny ciężar włożony na barki jego żony i jego trojga dorosłych dzieci? Może te dzieci też chciałoby pracować w POM-ie, jak ich brat? Czy 80-letniej matce ob. Jamnika nie należy się już zastużony wypoczynek, a nie zajmowanie się gospodarstwem, a wiemy co to za praca na 8 ha?

Czy słusznie postępuje wobec tego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Koźlu, lekceważąc potrzeby budowlane ob. Wagnera, który OD TRZECH LAT nie może się przebić przez biurokratyczną pajęczynę, omijającą w sposób widoczny ten terenowy organ jednolitej władzy państwowej?

Przecież w myśl jasnych zarządzeń Rady produkującej w planowym skupie, a zwłaszcza w hodowli rolnicy, mają pierwszeństwo w przydziale materiałów budowlanych, no i rzecz jasna w załatwianiu potrzebnych formalności budowlanych.

Cate szczęście, że ogromna już dzisiaj większość gminnych i powiatowych rad narodowych pracuje znacznie lepiej niż PRN w Koźlu: uruchamia bowiem miejscowe wytwórnie materiałów budowlanych na lokalne potrzeby, upowszechnia coraz szerzej materiały zastępcze (glinobitka, żużel z wapnem, cegła piaskowo-wapienna i t.p.), gromadzi i zabezpiecza materiał rozbiórkowy, jednym słowem stara się iść na rękę tym chłopom mało i średniololnym, którzy w celu powiększenia produkcji swych gospodarstw (a to jest w tych decydujących latach Planu 6-letniego motyw najważniejszy), muszą odbudować, naprawiać i powiększać swe budynki gospodarskie.

Taka bowiem zasada, aby dopomagać w podnoszeniu produkcji rolnej, a przez to zwiększać stale dobrobyt, poziom oświaty i kultury mało i średniololnych chłopów, leży u podstaw całej polityki agrarnej Polski Ludowej. Tej zasadzie realizowanej w ostrej walce ze spekulantami i kulakami, którzy ją stale chcą wypaczać na niekorzyść mało i średniololnych chłopów, a nie tylko swęj pracy (z której tak słusznie zresztą są dumni nasi korespondenci), zawdzięczają i ob. Spychała i ob. Jamnik i inni średniololni chłopcy w całym kraju swoje piękne wyniki produkcyjne.

I te prawdy w rozmowie ze średniololnymi chłopami mocno i wyraźnie należy przypominąć.

Stanisław Cieslak.

Rozmach produkcyjny średniaka

OD młodych lat pracował czło-wiek w pocie u obszarnika przez cały dzień, od świtu do zmroku, i to jeszcze dobrze było, bo taki obszarnik z dużym brzuchem potrafił często wyjść z pałacu, aby wyzwać tego biednego robotnika i straszyć, że go zwolni z pracy i z mieszkania. A gdzieżby się wtedy podział z rodziną: żoną i dziećmiorgiem drobnych dzieci. Wiek człowiek choć gładny wyteżał jeszcze bardziej swe sily, aby go tylko nie zwolniono, bo innej pracy by już nie dostał. Tak było w Polsce przedwzrzesniowej, był człowiek po prostu w niewoli.

Ala gdy w roku 1945 odrodzona Armia Polska wraz z Armią Radziecką przepędziły wroga, kapitalistów i obszarników nastąpiła reforma rolna.

Otrzymałem i ja ziemię, całe 10 hektarów. Początki były trochę trudne, bo się nie miało ani inwentarza martwego ani żywego, ale to nie było długo, bo Państwo Ludowe nie naciskało z podatkami, a jeszcze pomagało i dało możliwość zagospodarowania się. Na początku kupiłem jednego konia i mogłem już dobrze ziemię uprawić, następnie dokupiłem drugiego, bo siła pociągowa jest w gospodarstwie najważniejsza. W r. 1947 miałem już cały inwentarz żywy i martwy i wtemczas zaczęła się moja praca.

Na gospodarstwie swoim kontraktuję rocznie 2,5 ha buraków cukrowych, gdyż jest to opłacalna roślina, bo mam i paszę dla krów, których trzymam trzy, a po drugie otrzymuję za buraki sporo gotówki. Te 2,5 ha ja nie obsiewam w jednym dniu, gdyż nie dałbym później rady w obróbie, więc drugą połowę siewu w dwa tygodnie później. Przez ten czas obrobie już pierwszą i poprzerywam rośliny.

Wysiewam 3 ha pszenicy ozimej i otrzymuję przeciętnie po 24 kwintale z ha. Pszenica najlepiej udaje się po strąkowych. Glebę dobrze wyoruję, nawozów sztucznych daję 200 kg na ha, najważniejsze zaś jest staranne bronowanie wiosną. A gdy jest za twarda, tam nawet hakuję.

Świń bekonowych kontraktuję rocznie trzynaście sztuk. Prosiat nie kupuję, gdyż mam maciorę i to już jest pewien zysk. Pierwsze cztery sztuki sprzedaję w marcu, spłacając zarazem pierwszą ratę podatku gruntowego oraz SFOR. Następne cztery sztuki sprzedaję przed żniwami, w październiku dalsze trzy, zaś dwie sztuki w końcu grudnia. Poza tym kontraktuję len, konopie i kolender. Nie zapominam także o tytoniu, którego zakontaktowałem 13 arów.

Wieczorami lub w wolnej chwili czytam książki i gazety jak „Głos Wybrzeża” czy „Gromadę”. W pracy społeczno-politycznej udziału nie biorę, ale należę oczywiście do Samopomocy. Czwo-ro moich dzieci jest już żonaty, troje młodszych pracuje w domu, jeden zaś w POM-ie. Najmłodsza córka uczęszcza do 7 klasy szkoły podstawowej.

PAWEŁ KUKLIŃSKI
Gręblin, woj. gdański

*

PRZEZ co można uzyskać wysoka wydajność pól? Przez pracę; a mianowicie: 1) podorywki muszą być wykonane w należytnym czasie i trzeba je pielęgnować przez częste bronowanie, nawet dwukrotnie w miesiącu; 2) staranne wykonanie orki przedsięwziętej odzin co najmniej na 14 dni przed siewem i walowanie ich bezpośrednio po siewie tego samego dnia wałem pierścieniowym. W żadnym wypadku nie wolno zapomnieć o orce pod jarowiną i buraki, którą trzeba wykonać późniejszą jesienią.

Najlepiej udaje mi się pszenica po ziemniakach, burakach lub koniunicy. Buraki cukrowe siewu wynawoziwszy kończąc obróbkę i zaorawszy na zimę piługiem z przedpługiem. Rokrocznie stosuję poplon, a mianowicie: peluszkę pod ziemniaki, nawóz obróbkę na zimę, co daje bardzo dobre wyniki. Po okopowych siewach pszenice daję nawozy sztuczne w stosunku na 1 ha - 150 kg superfosfatu, 200 kg soli potasowej, 25 kg azotniaku. W ubiegłym roku zebrałem pszenicy 35 q z ha. Drugie miejsce u mnie po pszenicy zajmują owies. Daję sztucznych nawozów w proporcji na ha: 150 kg superfosfatu, 200 kg soli potasowej i 75 kg azotniaku. A wynik? 32 kwintale z hektara! Jeśli chodzi o żyto, to, stosując podobne nawozy z tą różnicą, że daję superfosfat i sól potasową, uzyskałem 30 kwintali z ha. Dlatego to mogłem zamiast 58 kwintali oddać w planowym skupie 123 q!

Ażeby lepiej naświetlić moje gospodarstwo, składające się z 13 ha, w tym 10 ha ziemi ornej, to nadmienię, że w 1951 r. zakontaktowałem 20 tuczników. Posiadam 2 konie i 6 krów. Corocznie obsiewam 1 ha kończyną czerwoną, która daje 10 lub 11 wozów parokonnnych dobrego siana, co mi wystarcza dla inwentarza. Również kontraktuję 65 arów buraka cukrowego. Daję mi to wielkie korzyści. Zbieram bowiem około 400 kwintali z ha, liście składam w sily, zaś cukrowa dostarcza mi wysoki, które traktuję jak paszę trześciwą.

Ala najważniejsze to moja świadnia. Dobre wyniki i opłacalność

daje tylko większa hodowla. Ja trzymam najmniej 22 sztuki, oczywiście mam swoją maciorę, przez co unikam chorób, które można sprowadzić, kupując prosiąt. Co drugi dzień uprzątam nawóz i przemawam betonową podłogę. Mam właśnie 10 sztuk prosiaków, które urodziły się 3 kwietnia ub. r. Z tych właśnie prosiaków 4 sztuki, które były lepsze, zakontaktowałem na I kwartał 1952 r., słabsze zaś sprzedam w II kwartale. Z dalszych 10 prosiaków, które urodziły się 1. XI. 51 r., część przeznaczam na III kwartał, część zaś na kwartał czwarty. Zasada opłacalności tucznika to należyte wychowanie prosiaków do 30 kg wagi w ciągu 3 miesięcy. Stawiam je następnie na paszy zielonej w okresie letnim tj. na koniunicy, oście, pokrzywie. Kiedy są już wyrosnięte, daję je do tuczy, która trwać powinna około 3 miesięcy i wtedy uzyskuję tucznika o wadze 150 kg albo i więcej. Użytkuję za niego ok. 1200 zł, zaś koszt wychowania wyniósł 400 zł. Różnica ta jest właśnie wskazówką opłacalności hodowli.

Ja od 1910 r. jako 15-letni chłopak, byłem zmuszony szukać chleba poza granicami Polski. Jeździłem do Niemiec i tam na obczyźnie nauczyłem się pracy i ceniienia kawałka chleba, rozumiałem przy tym dlaczego państwo przedwojenne nie mogły mi go dać. Dlatego też w 1945 r., kiedy uzyskałem swoją działkę z reformy, wziąłem się za pracę. Zlikwidowałem 4 ha ugorów, co stało się dzwignią mego gospodarstwa. I dzisiaj spoglądam z dumą na przebytą drogę. Zyskałem zaufanie w gromadzie, od 1948 roku jestem kierownikiem grupy plantatorów. Zauważyłem, że z chwilą ukazania się dekretu o planowym skupie zboża, sąsiedzi przyjęli go z wielkim zadowoleniem. Dla chłopca, który posiada jedną duszę i który oddany jest szczerze państwu swemu, plany państwowe są łatwe do wykonania. Chłdzie są tylko dla tych, którzy mają dwie dusze. Tych jednak już jakby w naszej gromadzie nie było.

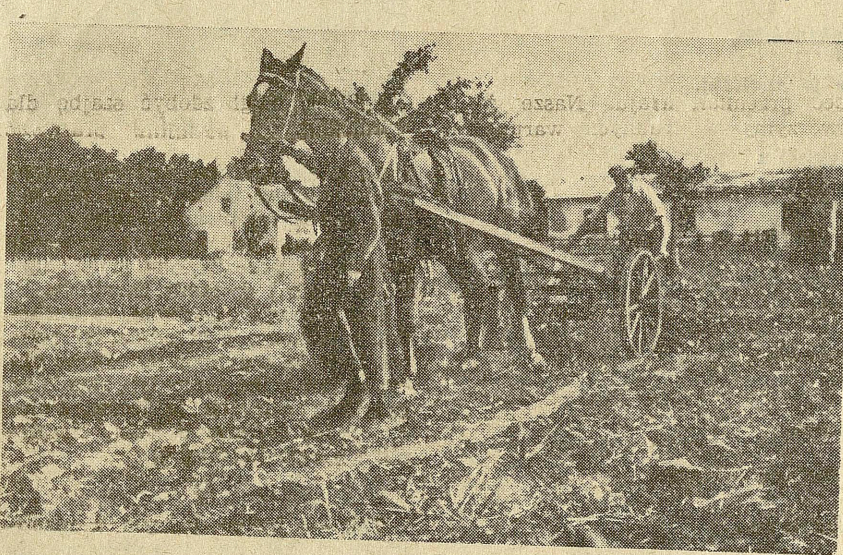
PAWEŁ SPYCHAŁA
Sokolowice

Foto Film Polski

Rolnicy z zamiłowania

MAM 10 ha. Jestem rolnikiem nie z przymusu, a z zamiłowania, nie tyle do ziemi, ile do jej owoców i dlatego w pracy swej postępuję w ten sposób, aby jak najwyżej osiągnąć korzyści. W więc w uprawie roli stosuję odpowiedni płodozmiann, należytą uprawę gleby (staram się poznać glebę i jej wymagania), pilnuję odpowiedniego czasu żniw i zbiorów i stosownie do wymagań gospodarstw trzymam odpowiednią ilość żywego inwentarza, gdyż bez odpowiedniej ilości tego inwentarza gospodarstwo rolne będzie kuleć.

Nie zważając na niedostateczną ilość rąk własnych, ja z synem (bo żona od 4-eh lat choruje), dajemy sobie radę, choć w zeszłym roku, gdy syn odbywał służbę w SP (od 19 sierpnia do 19 listopada), było mi bardzo trudno. Ale wszystkie swe obowiązki wykonałem z nadwyżką.

Swoje powodzenie w gospodarowaniu zawdzięczam umiejętności organizacji pracy w domu i w polu. Ogrom pracy na 10-hektarowym gospodarstwie nie pozwala mi na czytanie książek (wystarcza mi „Gromada”) i na kształcenie syna. Nie mogę brać udziału w życiu społecznym i politycznym gminy, gdyż mam już po 60-ce, jestem samoukiem i czasu brak.

ANDRZEJ ŁABA
Glinnice, gm. Jordanów
pow. Dzierżoniów

*

POCHODZĘ z wojew. tarnopolskiego. Przed wojną majątku żadnego nie posiadałem, ojciec mój pracował na utrzymanie rodziny w majątku za marne wynagrodzenie, które zaledwie starczyło na wyżywienie i skromny przydziewek. W 1946 r. zostałem repatriowany na ziemię zachodnią, do powiatu dzierżoniowskiego, gdzie mi przydzielono poniemieckie gospodarstwo rolne o obszarze 8 ha ziemi,

O umocnienie praworządności

MAM lat 79, rękę mam ciężką do piora i dlatego podyktowałem te kilka słów synowi, który powrócił w 1949 roku z niewoli francuskiej (bo został wcielony do armii niemieckiej w czasie wojny) pracuje razem ze mną w gospodarstwie i będzie moim spadkobiercą.

Jestem ojcem 7-ga dzieci. Jedną córkę jest pielęgniarką w szpitalu w Koźlu, druga pracuje jako robotnica rolna w PGR w Steblowie, trzecia i czwarta wyszły za mąż, pracują na własnym gospodarstwie, jeden syn górnik zmarł na obczyźnie w 1946 r., drugi pracuje ze mną na roli, najmłodsza córka jest ze mną i uczęszcza do 7 kl. szkoły podstawowej.

Gospodarstwo moje obejmuje 4,8 ha roli, które naówczas zostało przez komisję klasyfikacyjną w sposób niezbyt dokładny w sposób niezbyt rzetelny na korzyść bogaczy zaklasyfikowane.

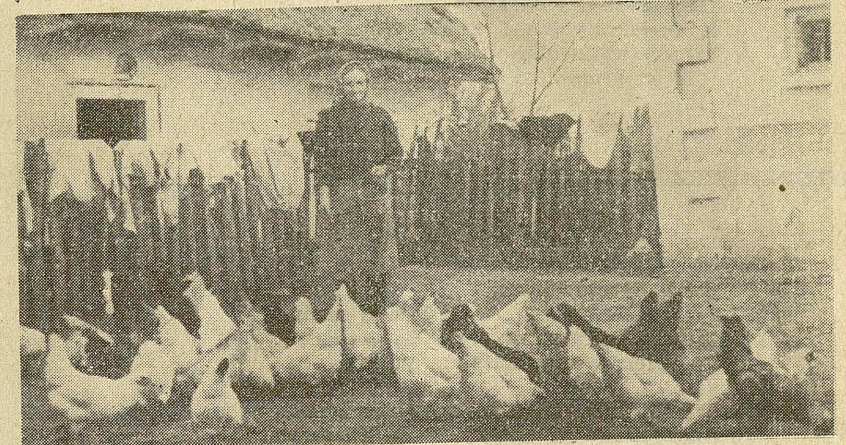


Foto E. Goławski

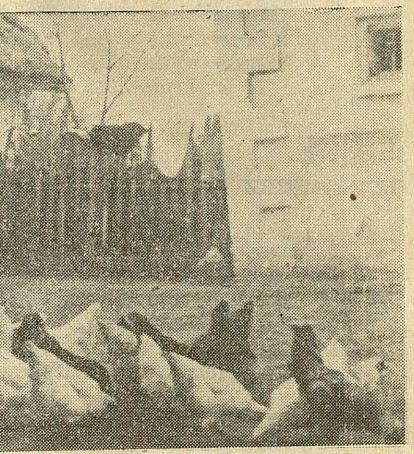
Zwracałem się kilkakrotnie do Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Cisku z prośbą o sprostowanie klasyfikacji, lecz bezskutecznie, gdyż tam pracują biuraliści, którzy lekceważą chłopskie sprawy i załatwiają je według własnego widzimisię.

Cała nasza wieś została spalona. Po wypędzeniu Niemców było moim jedynym gorącym pragnieniem natychmiast przystąpić do budowy nowych budynków, aby móc gospodarstwo moje doprowadzić do normalnego poziomu.

Zwracałem się kilkakrotnie z wielkimi prośbami do miejscowych władz o udzielenie mi pomocy finansowej, stawałem wniośki na zakup materiałów budowlanych, lecz wszystko to nie odniosło żadnego skutku, gdyż u nas w gminie i powiecie siedzą jeszcze elementy, które sprawy urzędowe załatwiają po znajomości i kumotersku. Niektórzy bowiem obywa-

tele w tutejszej okolicy otrzymali większe ilości drewna budowlanego z lasów państwowych, chociaż ich budynki znajdują się w dobrym stanie, nie wymagają żadnego remontu a drewno to leży u nich bezużytecznie na kupie i gnije. A moje wnioski o zezwolenie na odbudowę zniszczonych budynków w 100% i wszystkie rysunki leżą już 3 lata w referacie budowlanym przy Prez. Pow. Rady Narodowej w Koźlu.

A jak potrzebna mi jest odbudowa, świadczy fakt ten, że do obecnej chwili mieszkam u mego sąsiada jako lokator w dwóch małych pokoiach. Krowę i jałowkę umieściłem w odległości 150 m. od mego mieszkania u drugiego sąsiada. Trzodę chlewną trzymam na swoim gruncie, którą można każdej nocy ukręcić, siano i paszę dla bydła mam umieszczoną w odległości 300 m. u trzeciego sąsiada,



zbiory zbóż trzymam pod dachem w drugiej gromadzie w odległości 5 km., a siana leży w stertach na polu i niszczeje. Ale może to się już odmień, bo nareszcie w roku bieżącym otrzymałem pożyczkę 2.500 zł. i zakupiłem dachówkę i deski.

Pomimo tych trudności, jestem szczęśliwy, że żyję w kraju, w którym wszyscy walczą o wysokie urodzaje, służymy wspólnej sprawie, aby umocnić naszą ojczyznę i cały obóz pokoiu. Dlatego też starałem się jak najrychlej wykonać wszystkie swe obowiązki nie tylko nie starałem się o ulgi, ale odstawiłem z nadwyżką zboże i ziemniaki, spłaciłem co do grosza podatki i pożyczkę oraz zakontaktowałem 2 sztuki trzody chlewniej. Chętnie bym jeszcze więcej kontraktował, ale brak mi pomieszczeń.

Wypełniłem pierwszy w naszej gromadzie przed terminem i z nadwyżką wszystkie obowiązki wobec państwa i za to zostałem odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, otrzymałem też drugą nagrodę za osiągnięcia w hodowli bydła oraz list pochwalny.

Jestem także zamiłowanym plantatorem roślin przemysłowych, takich jak: buraki cukrowe, rzepak, len, cykorja itp. i daję sobie radę ze wszystkim latwo.

Jeżeli innym to gorzej wychodzi, to dlatego, że chcą być spekulantami i kombinatorami, biorą przykład od kulaków, jak uchylać się od obowiązków wobec państwa, co jest zwykłym oszustwem i łamaniem prawa.

A prawo w Polsce Ludowej jest ustanowione po to, aby każdy, bez wyjątku obywatel trzymał się jego przepisów. A przeciwko takim łotróm, którzy złośliwie starają się Państwo oszukać, trzeba stosować sankcje karne, gdyż oni liczą na to, że uda im się wymigać od sprzedaży zboża i spłaty podatku.

JAN WAGNER

Steblów, gm. Cisek, pow. Koźle,

Dorabiam się po raz czwarty

URODZIŁEM się w 1896 r. Gospodarzę od roku 1917. Żyję ze zdrowiem na wpół złamanym, ale żyję i ciągnę dalej. Jestem użytkownikiem gospodarstwa o glebie średniej jakości, pokładzie bardzo nierównym, o ogólnej powierzchni 7 ha 89 arów, przypadającej na troje niepodzielonych jeszcze spadkobierców. Poza tym dzierżawię czyli obsługuję 6 morgów, ziemię starszków krewnych, w odległości 5 km. Pracuję tylko z żoną, Saturnią, przy niewielkiej pomocy sąsiedzkiej, za którą odzwajenniam się swoją pracą, lub też pracą mego konia. W lecie zaś parę tygodni pomagają mi 2 córki w czasie wakacji. Od roku 1917 jest to mój czwarty dorobek, to znaczy czwarty raz przeprowadzam inwestycję, gdyż byłem wysiedlony i wróciwszy po 5-ciu latach zastałem gospodarstwo zdewastowane. Co do płodozmiannu siewu tu niemal wszystkie rodzaje zboża, jednakże największe trzymam się okopowych i hodowli nie pomijając strąkowych i koniunicy, choć u nas chłop boi się tego, jak diabeł święconego. Wierzy on przeważnie w żytko i co drugi lubi, niestety, unikać pracy.

Tam gdzie u sąsiada przez granicę na tej samej klasie ziemi bogu-lące żytko, u mnie była kapitalna kapusta. Wynika stąd, że trzeba pracować na roli nie tylko rękoma ale i głową. I to jeszcze powiem, że dla mnie doba, miesiąc, rok są zawsze za krótkie. Smutniejsze, że mam skąpo inwentarza w tym roku, bo o 2 sztuki mniej, ale żywie się nadzieją, że wyrównam. Posiadam obecnie rogacizny 4, trzody 9-ro i 1-go konia, „wspólnika”, gdyż połową stodoły to on, a nie ja, rozporządza. Niedawno o tym mówiłem do żony i powiedziałem tak: „bodayże technika za słabo się rozwija, bo mogłyby dotąd pojawiać się już różnego typu traktory, a ja bym sobie taki miał jeden wprowadzić, a ten wtedy by jadł kiedy by robił, a nie cały rok, jak koń.

Tam gdzie u sąsiada przez granicę na tej samej klasie ziemi bogu-lące żytko, u mnie była kapitalna kapusta. Wynika stąd, że trzeba pracować na roli nie tylko rękoma ale i głową. I to jeszcze powiem, że dla mnie doba, miesiąc, rok są zawsze za krótkie. Smutniejsze, że mam skąpo inwentarza w tym roku, bo o 2 sztuki mniej, ale żywie się nadzieją, że wyrównam. Posiadam obecnie rogacizny 4, trzody 9-ro i 1-go konia, „wspólnika”, gdyż połową stodoły to on, a nie ja, rozporządza. Niedawno o tym mówiłem do żony i powiedziałem tak: „bodayże technika za słabo się rozwija, bo mogłyby dotąd pojawiać się już różnego typu traktory, a ja bym sobie taki miał jeden wprowadzić, a ten wtedy by jadł kiedy by robił, a nie cały rok, jak koń.

JÓZEF ROGOWSKI
Dąbrowka, pow. Brzeziny

TADEUSZ MURAS

JAK ROSNĄ NOWI LUDZIE



Czesław Schabowski

Ostatnia książka Czesława Schabowskiego*) składa się z czterech opowiadań, które wiążą zmiar autorów artystycznego przedstawienia przemian w świadomości ludzi nowych czasów. Opowiadania ukazują problemy awansu społecznego („Szturmok”), walkę z uporem analfabety („Gazetka ścienne”), podstawę gimnazjalisty w stosunku do spółdzielni produkcyjnej w jego rodzinnej wsi („Rower”), proces przełamania obojętności wobec spraw ogółu w świadomości robotnika fabrycznego („To sprawa syna”).

Opowiadania Schabowskiego skonstruowane są tak, że każda ze wskazanych spraw stanowi nie tylko naczelną — ale wyłączną i jedyną problem jednego opowiadania. To zmusza do omówienia osobno każdego opowiadania, wyposażonego w odrębną argumentację artystyczną i umiejscowionego w innym środowisku społecznym. Nowa książka Czesława Schabowskiego jest poważnym osiągnięciem zwłaszcza w zakresie doboru tematyki literackiej i selekcji faktów. W porównaniu z dotychczasową twórczością autora („Sama” i inne drobne prace) ostatnie utwory zbliżają pisarza w bardzo szybkim tempie do poważnych osiągnięć realizmu socjalistycznego, zwłaszcza dzięki swej niewątpliwie doniosłej i użytecznej społecznie problematyce, wzbogacającą też doświadczenie pisarza i torującą mu drogę ku zamierzeniom większej miary. Niezbyt szerokie zagadnienia, jakie wzięły na warsztat autor, odpowiadają w zupełności rozmiarom tego rodzaju literackiego, jakim jest opowiadanie. Jedynie temat „Sprawy syna” wymagałby formy przynajmniej szkicu powieściowego.

OSTATNI „SZTURMOK”

Według zdania personelu Pogotowia Ratunkowego Jasia miał być ostatnim „szturmakiem”, który na etapie sprzątaczkę spędził całe życie uwalniając tym samym wszystkich od kłopotu, jaki sprawiała. Każda nowo zaangażowana sprzątaczką, rzuciła po krótkim czasie robotę, by na kursie pielęgniarstwa szukać awansu społecznego i wyższych kwalifikacji zawodowych. Tymczasem ta niedawna analfabeta po paru miesiącach sprzątała sale wykładowe z podręcznikami anatomii w rękę, zaś za trzy miesiące od momentu, w którym kończy się opowiadanie została pielęgniarką. Jaki przełom dokonał się w Jasi, że ujrzała przed sobą możliwość innego życia — tego autor nie pokazał. Dlaczego cała argumentacja służąca do ukazania przemian, jakie się w niej dokonały, uszła uwagi autora? Wydaje się, że przeszkodziła tu niedostępowość do wybranego tematu kompozycja utworu.

Uwaga czytelnika skierowana jest przez cały czas na sytuację w Pogotowiu Ratunkowym, a nie na zmiany, jakie zachodzą w świadomości „szturmoka”. Jasia pojawia się tylko po to, żeby jeszcze raz pokazać, że przed każdą sprzątaczką otwarta jest droga awansu i że żadna jej nie wyrzeka. Wznowił problem ten pytanie: jak zareaguje kierownictwo Pogotowia na jeszcze jeden wypadek awansu sprzątaczkę? Jest to niewątpliwie sprawa ważna i rozmyślenia kierownika Pogotowia, który dochodzi do wniosku, że czas „szturmoków” minął bezpowrotnie, że ludzie rosną i podstawowym obowiązkami społecznymi jest pomaganie im na tej drodze, są z pewnością istotne i odgrywają ważną rolę w utworze. Jednak na rzecz efektywnego zaskoczenia kierownictwa zachowaniem się wymarzonego „szturmoka” poświęcił autor kluczową i najistotniejszą sprawę — ukazania przełomu w świadomości Jasi.

Uzasadnione w życiu Jasi było jedynie odejście od „ujka” kulaka. Autor słusznie wskazuje, że w rzeczywistości droga awansu rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy dziecinna zrzuci z siebie moralną i materialną zależność od wiejskiego kapitalisty. Wspaniały temat. Śmiały krok Jasi, jakim było zerwanie ze swym opiekunem i wyzyskiwaczem powinien być przyniesie nam całe bogactwo dalszego rozwoju bohatera i to piękno, jakie odczuwamy zawsze, gdy widzi-

my jak ktoś buduje sobie lepsze ludzkie życie. Autor tematu jednak nie wykorzystał w pełni.

UPÓR ANALFABETY

Za najlepsze opowiadanie w zbiorze należy uznać „Gazetkę ścienną”. Autor tu bardzo wnikliwie, bez spłykania problemu, przedstawił niechęć analfabety do nauki i motywy jej przeczytania. Jakimi środkami autor to osiągnął? Z jednej strony tym, że bohater — Wojciech Kiś — pełni wybitną rolę w PGR-u i bardzo dobrze zna swoją wartość zawodową. Jest dobrym hodowcą i nikt z „piśmiennych” pod tym względem równać się z nim nie może. Wskutek tego Kiś nie może pojąć, co też się niektórym ubzdurzało na temat walki z analfabetyzmem. Aktyw PGR-u stosuje przy tym niezbyt szczęśliwie nacisk moralny wobec Kiścia. Zrażony tym postanawia, że na złość wszystkim czytać się nie nauczy. Rozładować tak zarysowany konflikt, w którym gra rolę i fałszywie zrozumiana, ale także ludzka ambicja ponieważanego przez całe życie farnala, który teraz dopiero odgiął kark i poczuł się człowiekiem cenionym, i opory narosłe w ciągu lat ciemnego, niewolniczego życia — to sprawa ambitna i trudna literacko. Autor wybrał z tych trudności szczęśliwie.

Konieczność nauki wskazywał Kiściowi nie upokorzenia analfabety, lecz przeciwnie — coraz bardziej rozszerzające się przed nim pole działania. Konieczność napietowania sabotażysty w „Gazetce ścienną”, możliwość stania się korespondentem, piszącym o sprawach PGR-u, możliwość czytania w prasie krajowej tego co piszą dziennikarze o jego pracy. Słusznie też pisarz nie upraszcza sprawy przełamania oporów w świadomości Kiścia, ukazuje, że to proces trudny i długi.

To są artystyczne osiągnięcia, które pozwoliły autorowi pokazać prawdziwy obraz przemian w świadomości analfabety. Są w tym opowiadaniu i niedociągnięcia dość istotne, choć nie dotyczą kluczowego problemu opowiadania. Jednym z nich jest 40.000 zł. zarobku miesięcznego Kiścia. Jeżeli to jest suma prawdziwa, to i tak należałoby ją jako zupełnie wyjątkową zmniejszyć do połowy przynajmniej, choćby dla uniknięcia podejrzenia, że w tym tkwią źródła pozytywnej postawy bohatera wobec przemian kraju. Nasze życie tworzymy w trudnych warunkach i przy wielkim poświęceniu człowieka pracy, pominąć te trudności to znaczy zubożyć charakterystykę bohaterów naszego budownictwa, przedstawić ich w fałszywym świetle.

Drugą rzeczą na którą pragniemy zwrócić tu uwagę to fakt, że ludzie PGR-u w Sielencinie nie przejawiają ani jednej cechy, która byłaby pozostałością z czasów pańskiego folwarku. Kilka osób występujących wokół Kiścia nie wyróżnia nic więcej prócz imienia. Zaciekawia czytelnika to, w jaki sposób i Kiś i jego towarzysze pracy pozbili się całego balastu nawyków, jakie podtrzymuje agitaacja kulaków i ludzi przez nich obalamujących. Jeżeli Kiś wyzolił się ze swojego farnalskiego stosunku do folwarku, to musiał przejść taką drogę życiową, która była dobrą szkołą polityczną. Zwykle po przebiegu takiej drogi analfabety zrzucą się z siebie jak jakiś zawieszony łach, który tylko przeszkadza w życiu. Autor z całego bogactwa powiazań jakie zachodzą w świadomości człowieka na skutek jego doświadczenia życiowego wydzielił jedno zagadnienie — analfabetyzm. Rozwijał je świetnie. Ale właśnie dlatego, że ukazał je zupełnie oddzielnie — rozumiane jako jedyna pozostałość czasów przedwojennych u Kiścia, wypadło to fałszywie.

Kiś analfabeta jest prawdziwy, bo widzieliśmy jak się zmienił, ale Kiś pracownik fizyczny PGR-u jest fałszywy. Jeżeli czytelnikowi przedstawimy pracownika fizycznego — ideał o którym wiemy tylko to, że jest wzorowym hodowcą, dba o obórę jak o własne zdrowie, oraz wykrywa i likwiduje sabotażystów, to czytelnik powie nieprawdę, bo farnale kradną w PGR — ach aż się kurzy, a dalej już w nic nie wierzy. Wniosek stąd jasny. Nie wolno zaczynać od momentu, w którym bohater jest wzorem doskonałej cnoty. Na równo z problemem: jak człowiek buduje nowe życie, należy pokazać jak to życie zbudowało swojego twórcę.

ROWER CZY SIANO

Dwa zagadnienia rywalizują ze sobą w opowiadaniu „Rower” o miano spraw czołowych: sportowy awans Jurka i jego stosunek do spółdzielni produkcyjnej w rodzinnej wsi. Z dwuznacznej roli obu zagadnień w utworze wynika i pewne konsekwencje artystyczne. Wydaje się, że awans Jurka gra rolę podrzędną. Charakter tego awansu nie jest typowy dla naszych czasów. Jurek jadąc rowerem do miasta po szajbę do spół-

dzielczej maszyny dopędza jakiegoś cyklistę, z którym nawija miloząco zwycięski wyścig. Był to mistrz kolarski okręgu, który zapiekował się młodym talentem sportowym. Pachnie to trochę szczęściem, a trochę filantropią. Zamiast eliminacji w LZS-ach główną rolę w awansie odgrywa przypadek. Niedobrze też, że fakt ten zadecyduje o losach Jurka i stał się rozwiązaniem akcji opowiadania. Przesłoniło to sprawę poważniejszą — sprawę spółdzielczego siana — sprawę stosunku Jurka do najważniejszych trosk jego wsi. Na bohatera spadło szczęście. Los mu się uśmiechnął, odstawił widły i na drugi dzień prawdopodobnie poszedł trenować. Nie wiemy, co się stało z sianem, nie widzimy bliżej życia samej spółdzielni. Autor stawia bohatera wobec wyabstrahowanych zagadnień, a nie wobec złożonych konfliktów między ludźmi. Stąd nieznosnie ogólnikowa jest wiadomość o sabotażu — nie znamy ani sabotażysty, ani co najważniejsze — stosunku bohatera i innych postaci do tego zdarzenia. Tu należy jeszcze powiedzieć, że tak kardynalny problem wynikający z samego tematu, jak sprawa ideologiczna oddziaływania młodzieży szkolnej na wieś i młodzież miejscową nie została wcale pokazana. Jurek powinien stać się wzorem właściwej postawy młodzieży szkolnej na wsi, a stać się tym wzorem nie może, bo sobą żadnej postawy ideologicznej nie reprezentuje. W otoczeniu „nazwisk” jakiegokolwiek walory charakteru, przez który można pokazać świadomości człowieka, są zbyt czyste. Na same „nazwiska” oddziaływać również nie podobna.

Takie są minusy opowiadania „Rower”. Opowiadanie ma jednak duże osiągnięcia, które pozwalają nam postawić ten utwór na równi z opowiadaniem „Gazetka ścienna”. Głównym plusem jest problematyka. Należy uznać inicjatywę pisarza, który wciągnął zagadnienia postawy młodzieży szkolnej w jej rodzinnym środowisku w strefę literackich zamierzeń. Autor pokazał bohatera, który czuje się głęboko związany ze sprawami swej wsi, posuwa się do odpowiedzialności za jej losy, wykazuje pełne zrozumienie wobec aktualnych zadań produkcyjnych. Szkoda, że problem ten zarysowany został tak szkicowo.

Drugą sprawą pozytywną jest sprawa sportu. Podkreślenie faktu, że tylko dzięki zaprawie sportowej Jurek mógł zdobyć szajbę do spółdzielni i wydajnie pracować przy sianie otrzymuje nowe znaczenie w momencie kiedy się dowiadujemy, że ojciec Jurka był przeciwny jego treningom. Autor powinien jednak bardziej wykorzystać w akcji tę sprawę, jako argument w walce z uprzedzeniem starszego pokolenia przeciw upowszechnieniu sportu w środowiskach wiejskich.

PROCES NARASTANIA AKTYWNOŚCI SPOŁECZNEJ

Szczególną uwagę należy poświęcić opowiadaniu p.t. „To sprawa syna”, którego tytuł autor przeniósł na cały tom. Autor przedstawia bohatera, którego cechuje skrajna obojętność dla wszystkich spraw przekraczających zasięg jego prywatnych interesów. Prócz najbliżsi zwracają mu uwagę na szkodliwość takiego odciecia się od wszystkich spraw obchodzących ogół. Przełomowym momentem staje się regulacja rzeki, której wlew groźą zatopieniem fabryki. Dopiero gdy powódź napawie zaczęła zagrażać fabryce Kubiczek poszedł ją ratować. Pracował w wielkim poświęceniu i o mało nie przepłacił tej sprawy życiem.

Dwie rzeczy należy tu omówić: mianowicie jakie są źródła aspołecznej postawy Kubiczka i przełomu, który w nim nastąpił. Źródło stosunku Kubiczka do życia fabryki nie znamy. Pisarz wychodzi z założenia, że wszyscy robotnicy są jej w pełni oddani, pozostał tylko jeden egzemplarz indywidualizmu, który hołduje sobie pasję, uprawia swoją działkę, łapie pszczy, a w fabryce robi wyłącznie to, co do niego należy. Jest to błąd, który widzieliśmy już w „Gazetce ścienną”. Nie wystarcza odautorska charakterystyka bohatera, bo po pierwsze nie wiadomo czy autor mówi prawdę, a po drugie postać bohatera traci siłę przekonywującą, która z racji możliwości skupienia w losach bohatera pewnych prawidłowości społecznych pozwoliłaby czytelnikowi ująć mechanizm kształtujący rzeczywistość.

Co autor zaprzepaścił rezygnując z ukazania przyczyn, które ukształtowały postawę Kubiczka? Wyjaśnimy to przez przykładowe ukazanie możliwości artystycznych, jakie tkwią w samym temacie.

Fabryczka na zapadłej prowincji nad rzeką Bobrem. Takie jest miejsce akcji. A jak wygląda środowisko? Nie wiemy, bo autor nam go nie pokazał. Jest Kubiczek — obojętny na wszystko, oraz pozostali ludzie świadomi, dojrzały politycznie robotnicy. Skąd ta dojrzałość — nie wiemy, tak, jak nie wiemy skąd obojętność Kubiczka. A przecież z pewnością ktoś wytę-

żał siły by fabrykę tę uruchomić po wojnie, z pewnością starano się, żeby zwiększyć w niej ilość krosien, aby więcej miejscowych ludzi znalazło zatrudnienie. W tej pracy ludzie zyskiwali swoją świadomość. Osobiście precyzowali problematykę swego terenu i robili wszystko, żeby te zadania realizować. Jeżeli na takim gruncie wyrosła świadomość robotników, wtedy jest ona czymś realnym i zrozumiałym. Praca społeczna włożona w usta żony Kubiczka nabierałaby żywego znaczenia. A tak, nie znaczy nic. Cały problem, który jest w rzeczywistości problemem żywotnym i niezmiennie ważnym w utworze staje się schematem, traci swoje przekonywujące znaczenie.

A jakie by można było wskazać źródło postawy Kubiczka? Odpowiedź możemy otrzymać jedynie biorąc pod uwagę walkę klasową tego środowiska. Fabryczka przed wojną mogła być małą budą. Teraz ją rozbudowano, znalazło w niej pracę kilkadziesiąt ludzi więcej. Znaczy to, że kulacy muszą teraz płacić 50 kg żyta za dzień roboty zamiast, jak przed wojną, 12 kg. Kulacka plotka będzie się stąrała wyśmiać i ludzi, tę fabrykę reprezentujących i cały ustrój, który gospodarzem w kraju zrobił człowieka pracy. Zsolidaryzuje się z nienawiścią skłękany i drobnych „majstrów”, przedstawicieli upadającego rzemiosła, którzy nie będą już teraz pasywnymi nauczycielami czeladnikami. A kto jest nosicielem wroguj plotki? W wielu wypadkach i ci, którzy nie znaleźli jeszcze swego miejsca w nowej rzeczywistości. W tej atmosferze wyrasta obojętność Kubiczków. Ale tego wszystkiego w „Sprawie syna” nie ma.

Istnieje jeszcze jedna możliwość, która mogłaby być powodem postawy Kubiczka. Przychodzi on do fabryki w chwili np. kiedy inni robotnicy mają za sobą parę lat troski i starań o jej sprawy. Są wciągnięci w jej życie. W każdej rzeczy widzą problemy, o które bliżej się na naradach produkcyjnych. Kubiczek patrzy na te same sprawy i jako ten, który nie zna życia zakładu, żadnych problemów nie widzi. Wstydzi się swojej niewiedzy. Robi to co do niego należy, ale nie angażuje się tam, gdzie czuje, że żadnego pożytku z niego nie ma. Przełom może nastąpić w takiej sytuacji, jaka została przedstawiona w opowiadaniu, bo bohaterstwo stwarza mu zasłużenie miejsce między tymi ludźmi. Ale na konflikt tego typu jeszcze za wcześnie w latach 1946—1949. Jedynie możliwy jest konflikt wyrażający z układu walki klasowej na tym odcinku rzeczywistości. Rozwiązanie zaś możliwe byłoby tylko w bezwzględnej kompromitacji wroguj sił klasowych.

Z tego pobieżnego przeglądu problematyki bogatej i interesującej choć niewielkiego tomu Schabowskiego nasuwają się wnioski pozwalające wiązać spore nadzieje z jego dalszą drogą twórczą. Schabowski posiada niewątpliwie dużą inwencję w zakresie odkrywania interesujących i typowych spraw dziejących się we współczesnej rzeczywistości. Prawie wszystkie zarysowane przez niego sytuacje są odkrywcze, niezbanalizowane, potrafią zaciekać czytelnika. Nawet przy tak szkieletowym zarysowaniu postaci bohaterów, wywołują oni niewątpliwie sympatię czytelnika i zainteresowanie dla swych losów. Odkrywają optymistyczne perspektywy naszego życia, wskazują na szereg ważnych przemian dokonywujących się na każdym kroku, a nie zawsze przez nas dostrzeganych.

Wszystkie jednak drobniagłowo wysuwane zarzuty (może niezbyt proporcjonalnie piteżone w stosunku do pochwał pod adresem tej z pewnością pozytywnej i wartościowej książki) zmierzają do tego by wskazać autorowi na konieczność ustrzeżenia się przed czyhajacymi na niego niebezpieczeństwami łatwin i hurra-optyzmu. Rzetelniejsze przedstawienie form walki klasowej, zdanie sobie sprawy, że proces przemian ideologicznych to zjawisko i trudne, i bolesne nieraz przebiegające, i bardzo skomplikowane, pozwoli z pewnością autorowi pogłębić sylwetki swych przyszłych bohaterów, przesunąć funkcje charakterystyzowania ich postawy społecznej z autorskiej relacji na ich własne czyny i słowa, pozwoli pełniej i słuszniej motywować ich postępowanie. Autor będzie wtedy unikał wkładania w usta bohaterowi pompacyjnej dziennikarskiej gadaniny o pokoju i Planie 6-letnim — a pokaże jak przez gorącą troskę o warsztat pracy i poczucie odpowiedzialności za aktualne zadania produkcyjne przemawia świadomość człowieka budującego socjalizm.

Tadeusz Muras

*) Czesław Schabowski — „To sprawa syna”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1951 r., str. 110.

ZOFIA SZPROKOFF

Mistrzowie „małych form”

Tak zwana „mała forma”: opowieść, nowela, szkice, posada w klasycznej literaturze rosyjskiej i radzieckiej wspaniałą tradycję: od Puszkina poprzez Czechowa do Gorkiego. Współcześni pisarze radzieccy, twórczo wykorzystując doświadczenia bogatej tradycji narodowej, w pełni doceniają wagę społeczną tego typu masowej literatury. Co roku na rynku w dawniczym Związku Radzieckim ukazują się liczne publikacje artystyczne z tego zakresu. Ostatnio nasze wydawnictwa przystąpiły co szerokiej popularyzacji wśród polskich czytelników, radzieckich „małych form”. Oto mamy przed sobą trzy tomy noweli i opowiadań autorów radzieckich*).

Stajemy tu wobec konieczności wydobycia z nich przede wszystkim tych wartości, które są typowe dla całej literatury radzieckiej, które decydują o jej wielkości i sile. Jedną z podstawowych cech utworów zebranych w omawianych tomach jest głęboki humanizm w ujęciu podstawowych problemów życia. Uwaga mistrzów „małych form” skupiona jest na człowieku, na jego przeżyciach i troskach. Są to ciągle „opowiadania o człowieku”. Nie jest to przypadkowe. Jest to artystyczny wyraz jednego z największych osiągnięć ustroju socjalistycznego, jednej z podstawowych cech „polityki wewnętrznej” Kraju Rad. Oto w upartej walce stworzono, wychowanie stał się nowym człowiekiem, na nim skupiona jest czujna uwaga państwa. W wychowaniu go, w trosce o niego wyraża się humanizm ustroju socjalistycznego. Miarą, wykładnikiem przemian społecznych stają się dla autorów omawianych opowiadań — i na tym skupia się ich cała uwaga — przemiany zachodzące w człowieku — rozwój jego świadomości klasowej, jego udział w walce o socjalizm i jednocześnie — w ścisłym związku z tym — kształtowanie się jego godności człowieka, ludzkiej, mądrej miłości do towarzyszy walki i pracy i nienawiści do wrogów. Taki człowiek rodzi się w walce o nowy ustrój, kształtuje go idea socjalizmu. Sprawy te odświeżają szczególnie wyrażenie tom opowiadań R. Fraemana, a szczególnie pierwsze z nich pt. „Nikicen”.

Porozumienie ta jest dlatego ciekawa i ważna w zbiorze Fraemana, że, obok drugiego opowiadania „Sobole”, ukazuje mało znaną naszym czytelnikom walkę o wprowadzenie i ugruntowanie socjalizmu na dalekiej północy. Walkę prowadzoną z wrogiem klasowym, którym tam jest kupiec, były policjanci carski, bogacz-szaman, walkę z tym wszystkim, co w świadomości ludzi północy jest pozostałością potwornych, eksploatacyjnych stosunków społecznych i gospodarczych — nędznego bytowania w ciągłej zależności od lichwiarza-kupca, ciemnoty, od wieków prymitywnego, koczowniczego trybu życia.

Dzienne są dzieje bohaterki opowiadania, tunguskiej dziewczynki Nikicen i jej zeknięcia się z „czernymi”. Oto dwukrotnie ojciec dla niej zabija jej sekwiną (renifer, który jest wianem tunguskiej dziewczynki); odchodzą nie spełnionych swych obietnic — tak się jej przynajmniej wydaje, zabierając jej narzeczonego ze sobą, a gdy ów wraca, jest jej zupełnie obcy. Nikicen odchodzi w tajemnicę polowań jak jej dziad i pradziad, gdy następuje ofensywa socjalizmu w lasach północy, gdy to, co na początku przyniosła garstka czerwonoarmistów, inni zaczynają wprowadzać w życie. Nie łatwo jest przekonać Nikicen, przekonać Tunguzów o konieczności zrzeczenia nowego życia; wielkowie przyzwyczajenie, nieufność wstrzymują ich. Ludzi tych wychowa, porwie i poprowadzi do nowego życia Tunguz, który przeszedł przez szkołę Armii Czerwonej, który wracając z niej po czterech latach umie demaskować wroga klasowego — kupca i byłego policjanta, który na fali ofensywy socjalizmu w lasach północy, stwarzającej dla Tunguzów nowe podstawy materialne życia (fabryka konserw, wyrąb lasu), potrafi urobić nowego człowieka. Nikicen i wszyscy Tunguzi dzikiego, koczowniczego plemienia stają się świadomymi budowniczymi nowego życia. To nowe życie czyni z nich pełnowartościowych ludzi, rozumiejących wartość i piękno pracy, ceniących swą ludzką godność. Miarą zmian, jakie zaszły na dalekiej północy, jest dla Fraemana nie tylko wielki przewrót gospodarczy, który z prymitywnej głodem i koczowniczym plemieniem Tunguzów czyni osiadły bogaty naród. Najpełniejszą miarą — i tym jak gdyby symbolem zamyka autor opowiadanie „Nikicen” — jest postawa pogardy, jaką zajmuje tunguska dziewczyna wobec Anglika, który ongiś w latach głodu, handlując z Tunguzami, rzucił jej jak psu dwa palcami do góry, kawałki cukru. W tej pogardzie i nienawiści do obcego kupca mieści się cała zrodzona przez nowy ustrój godność ludzka Tunguza, jest ona wykładnikiem drogi Nikicen od koczownictwa w tajdze do Komsomolu. W miasteczku skrócie nowelystycznym ukazał Fraeman drogę przemian świadomości nowego człowieka.

Fraeman umie przedstawić w swoich opowiadaniach zaciętość walk pierwszych lat władzy radzieckiej na dalekiej północy toczonych z wieloma wrogami, z których nie najpodrzedniejszym jest tajga. Umie ukazać walkę z tajgą, mrozem, bogactwem i szkodliwym, trud-

ny marsz czerwonoarmistów przez tundrę w celu realizacji rozkazu: „Udać się do Tunguzów. Ustanowić rady. Wprowadzić rewolucyjne sprawy i rozprawić się z wrogiem klasy pracującej”. W opowiadaniu Fraemana opis przemarszu, walka czerwonoarmistów z przyrodą, to nie tylko zgodna z prawdą historyczną dokumentacja ich bohaterstwa. Nie jest to jakaś część „samoistna”, opis „wiecznych zmagani człowieka z przyrodą”. Wspólna z czerwonoarmistami droga przez tajgę uczy Tunguza, że są to ludzie, którzy umieją zamieniać słowa w czyn i że wielka jest widać sprawą, dla której narażają się na najgorsze trudności. Stąd jego decyzja: „Nazwij mi to miejsce, gdzie można stać się bolszewikiem”. U Fraemana wielkie elementy artystyczne są podporządkowane świadomemu założeniu ideologicznemu, stąd spójność opowiadania, jego harmonijność, artystyczna doskonałość.

Przejdźmy do innego tomu opowiadań — W. Iljenkowa. Staniemy tu znów, a nawet o wiele wyraźniej niż u Fraemana, przed ową problematyką humanistyczną, przenikającą całą współczesną literaturę radziecką. Wielkim osiągnięciem Iljenkowa — poza doskonałymi, zamkniętymi częstokroć w ramach paru stron portretami, jednostkowymi na pozór, lecz w tym co typowe charakteryzującymi cały naród radziecki („Swoi chłop”, „Oczy”, „Matka”) — są zamieszczone w tomie utwory, w których autor umie niezmierzanie trafnie uchwycić te momenty, kiedy rodzi się, przetwarza, doskonali człowiek radziecki, kiedy przemienia się w niego stary, nowy, stary sposób myślenia, kiedy pełniej rozumiejący cel i sens radzieckiego życia staje się doskonałym, bardziej świadomym budowniczym Kraju Rad. Rozpatrzmy to zagadnienie przykładowo na dwóch krótkich obrazach (trudno bowiem ustalić dokładną gatunek utworów Iljenkowa; sądzę, że nazwa obrazu jest tu najstosowniejsza ze względu na krótkość, syntetyczność, a jednocześnie pełnię ideologiczną i artystyczną utworu). Pierwszy z nich to „Fetis Zjablikow”. Zawiera on historię dorastania radzieckiego człowieka do postawy komunisty. Ostre i wstrząsające zestawienie dwóch okresów — przedwojennej kołchoźniczej wsi i rzeczywistości wojennej pozwala mu surowo ocenić swoją niechętną, opieszłą i leniwą postawę wobec prac kołchozu, pozwala mu zrozumieć czym dla kołchozu, dla jego własnego życia była partia. Jego czyn — dobrowolne pojskie na rozstrzelanie, aby uchronić przed śmiercią organizatora partyjnego — to nie akt pokornej pokuty za grzechy. To moment narodzin komunisty w radzieckim chłopie, który oceniając i analizując sytuację podejmuje tu decyzję nie dla „zamazania grzechów przeszłości”, lecz dla czynnego budowania przyszłości, dla umożliwienia organizatorowi partyjnemu rozpoczęcia swej działalności we wsi zajętej przez hitlerowców. Ta decyzja — to skok na drodze narastania socjalistycznej świadomości w życiu Fetisa Zjablikowa. Drugi z przykładowych obrazów „Syn” kreśli parę godzin z życia człowieka, który stracił syna na froncie. I tu na pierwszym planie walka w świadomości — przewyciężenie bezpodstępnej rozpacz, zrozumienie konieczności pomśczenia śmierci nie tylko własnego dziecka. I oto człowiek radziecki potrafi — nie tyle przełamać swój ból, ile jeszcze głębiej pojąć, kochać życie, jeszcze istotniej zrozumieć konieczność pracy i walki. To krzepienie człowieka radzieckiego umie wzmocnić i krótko, ale prawdziwie i przejmująco ukazać Iljenkow. Jego opowiadania przeczą istnieniu jakiegokolwiek stygmatu „szablono” człowieka radzieckiego, uczą nas, że jeśli chcemy o nim mówić, musimy ciągle widzieć go w rozwoju, w ciągłej pracy nad sobą, w ścisłym powiązaniu z całym ustrojem, musimy ciągle dostrzegać, jak wszystko co jest najdroższe i najpiękniejsze w Kraju Rad, stale go przetwarza.

Miarą wartości życia dla radzieckiego człowieka jest sprawiedliwość ustroju, szczęście ludzi, spokój i bogactwo ojczyzny i przede wszystkim to, w jakiej mierze on sam przyczynił się do tego. O tym sensie życia mówi książka W. Grossmana. W dwóch pierwszych opowiadaniach podaje autor rzetelną krytykę ideału życia mieszczańskiego: ów ideał sytości, niezmąconego spokoju — w gruncie rzeczy sobokstwa, egoizmu i tchórzostwa. Ów ideał, któremu hołduje doktor z „Czterech dni”, jest konsekwencją jego klasowego stanowiska — oportunistycznego mieszczaństwa, który w każdym ustroju, tak mu się przynajmniej zdaje, wie sobie spokojnie gniazdo. Zupelnie bankrutem tej idei odświeżania „Towarzysz Teodor”. Strach przed śmiercią, strach podły, czysto zwierzęcy — oto bilans życia mieszczańskiego inteligenta w przededniu Wielkiej Rewolucji. Dla leżącego z nim na sali i jak on umierającego na gruźlicę komunisty bilans życia — to bilans walki i śmierci jest

(Dokończenie na str. 6)

*) R. Fraeman — „Nikicen i inne opowiadania”, Prasa Wojskowa, 1950, W. Iljenkow — „Opowiadania”, Prasa Wojskowa, 1950; Wasyli Grossman „Życie”, wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1951.

SEWERYN SKULSKI

O RUCHU ROBOTNICZYM W AMERYCE

(Wspomnienia)

Kiedy w Ameryce znalazłem się w małym miasteczku 25 tysięcy ludności liczącej, Mansfield w stanie Ohio, zupełnie jak na bezludnej wyspie, ponieważ zamieszkiwało tam zaledwie 9 rodzin polskich i to daleko jedna od drugiej, za pierwszą zapłatę kupiłem w dalekiej księgarni polskiej w Pittsburgu, „Pana Tadeusza” i przeczytałem go kilkakrotnie. Pracując w górnym masywnym ołowiu, przy piecach topiących masę żelazną i następnie jako giser, po każdej dwutygodniowej zapłacie z tej księgarni sprawałem przez pocztę jakąś książkę i gazetę. Ale po krótkim już czasie, rzekomo postępowo na on czas „Ameryka-Echo” Antoniego Paryskiego z Toledo Ohio, poczyniła mnie niezadowolniać. Były tam tasemcowe rozprawy, jak pielegnować paznokcie, jak żyć i pracować mrówki, ale jak żyć i jak powiniennym być robotnik, jak pracować i na kogo, o tym gazeta milczała. Z tej gazety nie można było się dowiedzieć, co to jest kapitalizm i jaka jest jego rola w ustroju społecznym. Często natomiast czytało się, że jakiś tam ksiądz ma młodą i przystojną gospodynię, dlatego wieczorami w plebanii okna zasłania i że goni za dolarami.

Traf chciał, że księgarz w Pittsburgu, wysyłając mi książkę, zawiązał ją w część gazety, zwracając się „Górniki Polskie”. Gdy sobie tę gazetę zamówiłem, dowiedziałem się zaraz, że jestem robotnikiem i, że jest też inny postępek w porównaniu z „postępem” „Ameryki-Echo”. Niezadługo też w tej ohiowskiej dziurze zrobiło mi się ciasno, gdyż dowiedziałem się, że w Detroitlinnych miastach są organizacje robotnicze i kulturalne. Zjawili się w 1916 roku w Detroit i trafili na gorące czasy zwalczającej się nawzajem polonii. Jedni szli z legionami Piłsudskiego na Moskalę, a drudzy z wojskami Iwanowa na Kajzera i na Francja austriackiego. W tym czasie trzeba było naprawdę mieć upartość kozia, żeby nie wiatować po jednej lub drugiej stronie. Ja czytając dalej „Górnika Polskiego”, którego redagował Roman Dmowski (N'e Roman Dmowski, głowa Stronnictwa Narodowego w Polsce a stronnictwa kleru, bogatych sklepikarzy, dzieciaków i huliganerii, „bij Zydów”), czytając jego mądre i pouczające artykuły polityczne, ekonomiczne i społeczne, kupując od czasu do czasu broszurki, omawiające treść socjalizmu, jakoś udało mi się prześliznąć pomiędzy skłóconą Polonią i trafić do Polskiej Sekcji Socjalistycznej Partii Ameryki.

Ale gdzie wówczas obywateli się bez walki. I tam, już pomiędzy towarzyszącymi niby jednego celu — „Proletariusze wszystkich krajów, łączyć się!” — zastałem ostrą walkę, gdzie Niemiec, jak wśród skłóconej Polonii, trzeba się było orientować, co popierać. Szło przecież o ważną sprawę dla całej klasy pracującej. „Górniki Polskie”, towarzysze, jak: Dmowski, Elbaum, Plezia i inni byli przeciwko legionom Piłsudskiego jak i przeciwko samemu Piłsudskiemu. Byli przeciwko wojnie imperialistycznej. Pisali i mówili, że za sprawę Polski, za przyszłą jej wolność, nie możemy walczyć przy boku armii imperialistycznych i zaborczych rządów. O interesy Polski musi walczyć przede wszystkim klasa robotnicza z całym narodem i wspólnie z klasą robotniczą wszystkich krajów. Tymczasem „Robotnik Polski” i „Dziennik Ludowy”, pisma rzekomo socjalistyczne (Mazurkiewicz, Rolkin i inni) popierały legiony Piłsudskiego i samego Piłsudskiego i nawoływały ochotników do walki o Polskę u boku wojsk kajzerowych i austriackiego cesarza. Twierdzili, że jak Moskale pobiją, to potem obrócą się i pobiją Kajzera a na ostatek cesarza austriackiego samymi już czapkami zarzucą. A wszystko to jakoś zrobić bez pomocy klasy robotniczej i całego narodu i nawet o tym nie powiedzą klasom robotniczym innych krajów.

Nie tylko w polskiej sekcji, walka na tle ideologicznym narastała we wszystkich sekcjach Partii Socjalistycznej, jako też i w całej Amerykańskiej Partii Socjalistycznej. Ci, którzy przybyli do partii z poczuciem socjalizmu, internacjonalizmu i interesów klasy pracującej, oburzali się coraz głośniej na przewództwo w partii, które było ugodowe, nacjonalistyczne i odchyleńcowe.

Kierownictwo Amerykańskiej Partii Socjalistycznej znajdowało się nie w robotniczych rękach. W miastach i miasteczkach przewodziła partii adwokaci, politykierzy dzielnicy, mali przemysłowcy a czasem agenci realności i ubezpieczeni. Wiadomo, że takim partia

była potrzebna do kariery i bursi. Gdy taki był pewny, że gdzieś szykuje się dla niego żłób, zostawiał partię a jak żłób tracił — znów dla rozgłosu i utargowania przez straszenie krwawą rewolucją — szedł do partii, partii przewodził.

Dopiero Wielka Socjalistyczna Rewolucja oddzieliła socjalistów od nie-socjalistów. Adwokaci, którzy pompatycznie grozili bankierom i trustom „krwawą” rewolucją, po fakcie zniszczenia więzień narodów i imperium carów, pierwsi wnieśli pięść w stronę zwycięskiej rewolucji. Ale czołowa straż interesów amerykańskiej klasy robotniczej przez zorganizowanie Amerykańskiej Partii Komunistycznej, (w której został pierwszym sekretarzem polskiego oddziału w mieście Utica stanu New York) podała zwycięskiej rewolucji rękę i przeskłała braterskie pozdrowienie, zapewniając ją ponad łbami roz-wścieczonych brytanów imperialistycznych, że zwycięska Wielka Rewolucja Październikowa jest także zwycięstwem amerykańskiej klasy robotniczej.

„Górniki Polskie” jakkolwiek dobrze służył interesom klasy robotniczej i górnikom pochodzenia polskiego, których najwięcej pracowało w kopalniach węgla w stanie Pennsylvania i przez nich był najwięcej czytany, nie wystarczał jednak na potrzeby informacji skróconej Polonii; kto lepszy Moskal czy Kajzer? „Górniki Polskie” przewodził pytanie na inną płaszczyznę. Jaka wojna słuszna — imperialistyczna o nowy podział świata i dawnego stanu rzeczy, niewoli mas pracujących i wyzwoli, czy taka wojna, jaka odbyła się pod wodzą Lenina — o władzę mas, o wolność wszystkich narodów? W Detroit stanu Michigan powstał dziennik „Głos Robotniczy”, który niemal napisał krwi i nerwów łapichopstwu polskiemu. Szalało ono ponieważ „Głos Robotniczy” przewodził nakładem oba „polskich socjalistów” pisma i wiele pism innych. Obliczono, że „Głos Robotniczy” około 15 milionów dolarów nie pozwolił łapichopom wydrzeć z kieszeni rodzin robotniczych pochodzenia polskiego. Redaktorem „Głosu Robotniczego” był Tadeusz Radwański a początkowo Dmowski.

Były to dni ważnych walk, nie tylko z jawnym wrogiem — kapitalistami, ich żandarmerią i szpiclami, walczone jednocześnie na kilka frontów, bo większą krzywdę klasie robotniczej niósł wróg, podszywający się pod miano socjalizmu, jakim byli polscy sekciarze „polskich socjalistów w Ameryce”. Prawdziwymi patriotami polskimi byliśmy my członkowie Polskiej Sekcji Amerykańskiej Partii Komunistycznej, bośmy walkę o wolność Polski stawiali na realnych i właściwych założeniach. Walkę o wolność Polski stawialiśmy przed robotniczą klasą amerykańską i światową, jako jej interes własny, a przede wszystkim w tej walce pragnęliśmy widzieć zjednoczonego robotnika z chłopem i inteligentą. W walce o władzę ludu w Polsce wzięliśmy także walkę o takie same uwolnienie innych narodów. W narodach Związku Radzieckiego i ich władzy ludowej widzieliśmy najbliższych przyjaciół.

Członkowie Komunistycznej Partii Amerykańskiej pochodzenia polskiego żyli nie tylko zagadnieniami Polski i walki o jej wolność. Żyli zagadnieniami amerykańskiej klasy robotniczej. Brali udział w walce o chleb, odzież i lekarstwa dla rodzin górników w wielkim strajku górników, któremu przewodził obecny przewodniczący Amerykańskiej Partii Komunistycznej tow. William Foster. W walce o obronę niewinnie zasądzonych przez sądy kapitalistyczne na spalenie na krześle elektrycznym, Sacco i Vanzettiego. W walce o obronę dziewięciu chłopów murzyńskich w słynnej sprawie Scottsboro, którym groziła śmierć za niepopelnioną zbrodnię. Chodziliśmy codziennie po pracy, po dzielnicach robotniczych, zbierając datki na górników, ubrania i żywność. Ile razy policja pałami rozprędała nas na wiecu ulicznym za głoszenie prawdy o sprawie Sacco i Vanzettiego, o sprawie chłopów murzyńskich, a najbardziej za głoszenie prawdy o wielkiej sprawie Rewolucji Październikowej.

To wszystko nie podobało się generalnemu prokuratorowi Stanów Zjednoczonych, Palmerowi. Starał się o kondydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych, chciał udowodnić trustom i kartelom, że będzie wiernie im służyć i wykonywał ich polecenia. Dał rozkaz policji najeżdżać na wszystkie

lokale Partii Komunistycznej i na domy sekretarzy i organizatorów, jak też na kolporterów prasy partyjnej i literatury. Z roku 1919 na rok 1920 połowa członków partii znalazła się w więzieniu.

Po najazdach tacy, jak Dmowski, Elbaum i wielu innych, musiało opuścić Stany Zjednoczone. Praca jednak nie została przerwana. Chociaż „Głos Robotniczy” został zamknięty, niebawem poczęła wychodzić w Chicago „Trybuna Robotnicza”, niosąc pomiędzy robotników polskiego pochodzenia tę samą ideę. Zbieraliśmy składki na obronę Radwańskiego, Geberta, Kowalskiego, Drużka, Niemyjskiego i inni nie zlekali się terroru. Objeżdżali osady polskie, przemawiali, organizowali a my wszyscy dalej zwalczyliśmy perfidne kłamstwa o Związku Radzieckim i uświadamialiśmy robotników w interesach klasy pracującej. Zbieraliśmy składki na obronę więźniów politycznych, na pomoc strajkującym, na prasę robotniczą i na chleb dla ludności w Związku Radzieckim w roku wielkiej posuchy nad Wołgą środkową. W dniach kryzysów organizowaliśmy Rady Bezrobotnych, marsze głodowe i mówiliśmy bezrobotnym, co jest przyczyną wyrzucenia ich na śmietniska miejskie i pod wiadukty mostów.

Ile pał policjantów połamało się na naszych głowach przy rozpędzaniu wieców i pochodów protestacyjnych w obronie Tom Moneya, który został zasądzony na dożywocie za to, że prowokator, na pochod huliganerii szowinistycznej, podczas strajku dokerów w Los Angeles i portach Pacyfiku, rzucił bombę, o co Toma Moneya obwiniono.

To nie jest historia ruchu robotniczego w Ameryce. Nawet nie część historii. Chcę tylko czytelnika poinformować z własnych wspomnień, jak podczas pierwszej wojny światowej i po wojnie, czołowy oddział robotników amerykańskich pochodzenia polskiego w ogólnym robotniczym ruchu brał udział. Nasz emigrant jadąc w nieznaną za chlebem był w każdorazowo olśniony w porcie New Yorku posągami wolności i „demokracji” trustom amerykańskich. I nie zaraz zatrwożyła go Morgana Wall ulica

i fabryka Forda w River Rouge. Ale mimo to nie każdy kładł na siebie mundur parafialnych ula-nów, szwależerów, aby pod szabłą na imieniny księdza proboszczowi stać sztywno. Chłop bowiem z Włók i Majdanu szybko dowiadywał się, czyje jest bogactwo i czyja wolność w Ameryce. Dlatego nie każdy z tych chłopów prosto z fabryki po wypłacie szedł do knajpy ob. Dyrdy, aby stać okrzakem koło wysokiego kontuaru i drzeć się „Jeszcze Polska nie zginęła”, a Dyrdę widząc ochotę zachęcał — Pijta z Bogiem, chłopcy!

Szeroka droga była i jest amerykańskiej klasy robotniczej, na której znalazło się bardzo wielu robotników polskiego pochodzenia. Jeżeli ktoś zwątpił na chwilę, że tą drogą nie zajdzie w potrzebne miejsce, do zwycięstwa klasy robotniczej a potem narodu nad gadem trustom i kartelowym — odchodził, ale znów po jakimś czasie sumienie go dręczyło i do swojej klasy powracał. Mam tu na myśli tych licznych robotników pochodzenia polskiego i innych narodowości, którzy lata przeharowali w kopalniach, stalowniach, górnictwie i aby się nareszcie „uniezależnić” zamieniali swoje budy miejskie na farmy z tymi, którzy również w rolnictwie dowiedzieli się, że od osiemnastu bankiera uniezależnić ich może tylko śmierć albo zwycięstwo klasy robotniczej.

Oj, ładny to był interes dla amerykańskiego łapichopstwa, zamienia nie bud miejskich na farmy i odwrotnie. Prawo tamtejsze powiada, że jeżeli ktoś pośredniczy w jakiejś zamianie, to podług wartości zamienianych rzeczy, „świąty procent” mu się należy. I nie nie może — płac, bo są ci nawali jeszcze więcej. A procenta te były nie-małe, jeżeli budę wartości 2 tysięcy i farmę tyleż pośrednik, łapichop pięć w górę do 8 tysięcy każde z osobna. A teraz policzcie 15 procent, to akurat zrobi tyle, ile ta buda naprawdę była warta.

Ten wysoki i procenta od długów popychały amerykańskiego farmera do walki obok klasy robotniczej. Ten „uniezależniony” na farmie w dniach kryzysu spotkał się z robotnikiem miejskim na jednym miejskim śmietniku

Seweryn Skulski

NAZIM HIKMET

LIST MECHMETA, SYNA NAZIMA, DO FRANCJI*)

Francuzi dobrej woli,
ja — trzymiesięczny młodec,
błękitnooki berbec,
nie umiem jeszcze chodzić
piersi matczynej złapać w rączkę,
lecz nauczyłem się już cieszyć
suchą pieluszką, słońcem świata
i wonią matczynego mleka.

Ja kocham życie,
pokochać można je szybko i lekko.
Francuzi dobrej woli,
przyszłem na świat z dala od miast waszych,
lecz bliska jest mi ziemia, w której leżą
bohaterowie mądrzy:
zasztyletowany Marat,
rozstrzelany Péri...

Oni
życie oddali, by śmierć unicestwić.
Życie jest ważne, życie jest potrzebne,
życie pokochoać można szybko, lekko.
Francuzi dobrej woli,
dotąd
nie nauczyłem się swego języka,
lecz przyjdzie czas, że poznam i wasz język,
aby mi mogli opowiadać o was:
Diderot, Balzac, Picasso, Eluard,
Barbusse, Zola, Daumier i Aragon,
Flaubert, Joliot-Curie, Pasteur i Renoir.

Oni mi powiedzą o waszych sławnych walkach,
o waszych miastach, osiedlach, kochaniu,
o waszych rzekach i o wioskach waszych,
o wspaniałości waszych prac,
o sile waszej myśli
i o dniach
minionych i przyszłych.
Francuzi dobrej woli,
ja — trzymiesięczna kruszyna,
zwracam się do was. Nie jestem sam,
takich jak ja wielu jest na świecie.

Nie chcemy wojny
i nie chcemy śmierci,
życie pokochoać można łatwo, lekko.
Francuzi dobrej woli,
bądźcie z tymi, co walczą o pokój,
aby Francja żyła,
abyśmy my żyli.

Mechmet, syn Nazima Hikmeta.

1951.

Przełożył Wincenty Jędrkiewicz

*) Oryginał tego wiersza pisany jest w jęz. francuskim.

ZOFIA RZEPLIŃSKA

REFLEKTOREM „BIAŁEJ KSIĘGI”

M OŻLIWOŚĆ zjednoczenia Niemiec pod hasłami demokratycznymi spędza nie od dziś sen z powiek amerykańskich i niemieckich imperialistów. Rozbicie Niemiec jest podstawowym zadaniem neohiperowskiej polityki w Europie a ukartowane zostało już bardzo dawno. Mechanizm gry Waszyngtonu, zanim jeszcze została wyrażnie ukonstytuowana jego niemiecka forpoczta w postaci adenauerowskiej „republik” ze stolicą w Bonn, jakie przeżył się rysuje się na tle dokumentów zebranych w „Białej Księdze”, wydanej przez Narodowy Front Demokratycznych Niemiec.

Senator amerykański Thomas pisał w roku 1945 w czasopiśmie „Readers Scope”:

„Różne amerykańskie organy prasowe dyskutują już teraz z wielkim hasłem na temat zagadnienia wojny z Rosją i będą to robić dalej, jeżeli nie zwalczymy inspirowanych jej sił”.

W tym samym okresie A. Nixon, ówczesny pełnomocnik USA dla zadań dekaraktalizacji Niemiec mówił podobnie:

„Nieodpowiedzialne wysiłki w kierunku wywołania konfliktów pomiędzy czterema mocarstwami nasuwają podejrzenie, iż pewne elementy w Departamencie Stanu, Foreign Office i Francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych przygotowują plany utworzenia bloku przeciwko Związkowi Radzieckiemu”.

Alle postępowo myślący Amerykanin, jak Thomas czy Nixon szybko utraci głos na „forum publicznym” USA. „Z biegiem czasu wszyscy uczciwi i zdolni urzędnicy zostali wyrzuceni, ponieważ nie byli przekonani o tym, że całkowite zerwanie z Rosją jest konieczne lub pożądane”. (Delbert Clark „Again the goose step”, New York, str. 56). Jeszcze w r. 1945 pojawiały się głosy takie, jak deputowanego do amerykańskiej Izby Reprezentantów, Jerzego Voorikis:

„Wielu znajdujących się na kłuczych stanowiskach amerykańskich urzędników Sojusznicy Rady Kontroli dotąd łączą węzły z niemieckimi przedsiębiorstwami finansowymi. Taka polityka jest poważnym błędem, który może doprowadzić do najpoważniejszych konsekwencji dla pokoju światowego”.

Alle w 1949 r. prawo głosu mieli już jedynie ci, co wołali:

„Do diabła z demilitaryzacją Niemiec. Odbudujemy z powrotem trusty i oddamy nazistowskiemu posiadaczom i dyrektorom”. Tak odpowiadał Thomasom, Nixonom i Voorikisom osobisty doradca gospodarczy Claya, Wilkinson.

Plany te, jak wiadomo, zostały bez reszty wykonane. Zajrzyjmy do książki p.t. „Zimna wojna w Niemczech”, którą napisał angielski korespondent konserwatywnego pisma „Daily Mail” W. G. Burnett.

„Clay mógł przekazać swoje stanowisko Cwilnemu Zarządowi z wysokim komisarzem Mac Cloyem na czele z tym uczuciem spokoju, że spełnił swoje zadanie. Niemiec-ki ciężki przemysł i jego nazistowski dyktatorzy zostali uratowani... Niemiec-ki trustom nie się nie mogło stać”.

Po rozpadnięciu się londyńskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych „New York Herald Tribune” donosił:

„Dotarliśmy do końca ulicy. Okres Jaity minął... Podział Niemiec da nam wolną rękę, aby strefy zachodnie włączyć w system zachodnich państw”.

W r. 1949, na tydzień przed pa-raską konferencją, amerykańskie pismo „Washington Post” podawało do wiadomości:

„Na wszelki wypadek został już utworzony dla trzech stref zachodnich Niemiec oddzielny rząd. Większość funkcji zostanie prawdopodobnie przekazana przedstawicielom biznesu. Przedstawiciele CSU-CDU będą stanowić fasadę rządu, poza którą wielcy przemysłowcy będą faktycznymi panami Niemiec”.

O co toczyła się gra? Odpowiedź nie nastroja trudności. Powyżej wymienione dane, wybrane spośród setek podobnych, wystarczają już, aby w pełni zrozumieć program Waszyngtonu w odniesieniu do terytorium Niemiec. Wyznaczono zachodnim strefom rolę bazy wypadowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji, tu podjęto „hodowanie” sztabu partnerów spośród tych, którzy torowali drogę Hitlerowi ekonomicznie i militarnie.

Dla tego celu potrzebne było jak największe odizolowanie od tej części społeczeństwa niemieckiego, gdzie karczowanie faszystów odbywało się bezwzględnie i radykalnie i gdzie proces demokratyzacji śmiało i miarowo posuwał się naprzód.

Dla agresorów, gromadzących w Trizonii dynamit przeciwko socjalizmowi, perspektywa zjednoczenia z Niemiec Republiką Demokratyczną, wycofanie amerykańskich wojsk, stanowił nadal zasadnicze niebezpieczeństwo. Warto zacytować podany przez „Białą Księgę” fragment sprawozdania z berliń-

skiej „National Zeitung”, obrazujący dosadnie niepokoję partnerów faszystowskiego sojuszu.

„Z miarodajnych źródeł otrzymujemy garść szczegółów dotyczących spotkania między Eisenhauwerem a Adenauerem, które odbyło się w poniedziałek w Bad Homburg, oraz dotyczących tego spotkania rozmów z zastępcą przewodniczącego SPD, Ollenhauerem, jako też z generałami Speidem i Heusingerem. Eisenhower z wielkim niezadowolaniem poinformował swoich rozmówców o wynikach badań wojskowych biur informacyjnych USA, które zgodnie stwierdzają, jakoby 85 proc. zachodnio - niemieckiej ludności sprzeciwiała się remilitaryzacji. Zadał kategorycznie, aby pod żadnym warunkiem nie dopuścić do plebiscytu na temat remilitaryzacji w zachodnich Niemczech.”

Adenauer zapewnił, że nie pozwoli na żaden plebiscyt również i Ollenhauer solennie obiecał, że kierownictwo socjal - demokratycznej partii zdecydowanie przeciwstawi się głosowaniu. Adenauer podkreślił na nowo swoje zapewnienia, złożone raz już przed amerykańskim wysokim komisarzem Mac Cloyem, po czym oświadczył: „zbrojenia są w toku”.

Eisenhower odpowiedział, że planowana deklaracja zakończenia stanu wojny z Niemcami na pewno posłuży temu celowi, przy czym rząd związkowy musi sobie uświadomić, że w następstwie takiej deklaracji nastąpiłoby nie wycofanie oddziałów okupacyjnych, lecz wzmocnienie ich. Po tych rozmowach Eisenhower w gronie wysokich urzędników amerykańskich wymusił bezwzględna pewność, że można na Adenauera polegać.

Na Adenauera można oczywiście polegać. Przyszło roku temu, gdy Prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Wilhelm Pieck zwrócił się do Adenauera z propozycją obrad nad zjednoczeniem kraju i powołaniem ogólnoniemieckiej Rady Konstytucyjnej dla utworzenia tymczasowego rządu zjednoczonych Niemiec, Adenauer odpowiedział — „nie!”. Powtórzył to jeszcze dwa razy, po wróżbiwym i październikowym apelu Izby Ludowej NRD.

Alle pociągło echo, jakim odpowiedział naród niemiecki po obu stronach na apel prezydenta Piecka, wielce zaniepokoiło monopolistów amerykańskich. Na Adenauera można polegać, ale jak polegać na „85 procentach zachodnio - niemieckiej ludności, która sprzeciwia się remilitaryzacji”?

Znany reakcjonista, senator amerykański Robert Taft jasno wyraził ten niepokój:

„Niemcy wiedzą, że stacjonowanie wielkich armii w Niemczech oznaczałoby zniszczenie tego kraju, który stałby się jednym olbrzymim placem bitewnym w nowej wojnie. Biorąc to pod uwagę, należałoby przewidzieć, że naród niemiecki nie przystanie na poważne zbrojenia”.

Oczywiście senator Taft nie mylił się w przewidywaniach, nawet mieszczańska prasa zachodnio-niemiecka bije na alarm opisując remilitarystyczne machinacje wścieczące nową, nie dającą się ogarnąć w rozmiarach katastrofę.

*

„Biała Księga” jako dzieło przenikające całe Niemcy wielkiego Frontu Narodowego jest wyrazem postawy ogromnej części społeczeństwa niemieckiego i równoległe do imponującego pochodu wzdłuż i wszerz Niemiec, apelu Izby Ludowej stanowi potwierdzenie słów wicepremiera NRD, Wilhelma Ullricha, wypowiedzianych na 6-ym Plenum KC Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec: „Nie mogą istnieć wątpliwości co do tego, że niemiecki imperializm nie ma perspektwy”.

Zofia Rzeplińska

Mistrzowie „małych form”

(Dokończenie ze str. 5)

dlatego rzecz straszna, że nie można już nic zdziałać dla sprawy, której poświęciło się życie.

To samo stanowisko zajmie w 25 lat później gromadka czerwonoarmistów zamkniętych w jednej z kopalni Zagłębia Donieckiego (opowiadanie „Życie”). Ich nieludzki prawie wysiłek dokonany dla wydobycia się z kopalni, to wyraz nieugiętych dążeń ludzi, którzy chcą żyć, gdyż wiedzą, dlaczego żyją. „Towarzysze — mówi dowódca oddziału — nastął moment powrotu na ziemię. Pamiętajcie, na ziemi jest wojna”. Życie ich jest potrzebne do walki z wrogiem — ta myśl jest ich myślą naczelną.

Trzy omawiane tomy, ukazujące jasno i wyraziście sens życia ludzi radzieckich, kulturowy zarazem rodzaj literacki, którego uwaga skupia się przede wszystkim na ukazaniu przemian ludzkiej świadomości. Mistrzostwo „małej formy”, do jakiego doszli omawiani pisarze radzieccy, „małej formy”, tak poszukiwanej przez nasze gazety codzienne i wydawnictwa masowe, powinno stać się wzorem dla naszej literatury.

Zofia Szprokoff

EDMUND NIZIURSKI

POSTRACH WIELKIEJ BUDOWY

(czyli kwiatki z osłej łaki reportażysty)

Otrzymałmśmy jedenastostronnicowy reportaż z budowy pewnej sławnej już dziś huty. Reportaż poszedł do kosza, a autorowi wyjaśniliśmy listownie powody tego przykrego kroku, ale „praca” ta jest tak sympatyczna i reprezentacyjna dla pewnego typu zlego pisania, że warto o niej pomówić publicznie. W jego postaci mamy co prawda do czynienia z wypadkiem krańcowym, lecz tak jak w karykaturze odbijają się złośliwie rysy poważnej skądinąd osoby, tak, w wielu błędach tego reportażu poznać można podniesione do drugiej potęgi błędy niektórych współczesnych reportażystów.

Pisanie wymaga wiedzy o przedmiocie. Przerazająca jest zarozumiałość autora oprowadzanego przez pół godziny po terenie, autora, który na podstawie kilku metnych pytań, kilku przelotnie zaobserwowanych ludzi, paru podszeptanych mu technicznych szczegółów pisze z lekkim sercem reportaż i w najlepszej myśli przesyła go do redakcji. Niedopuszczalna jest u pisarza ignorancja i lekceważenie każdego tematu, co do czego mówić o reportażu z wielkiej budowy socjalizmu? Jeśli już nie przez poczucie odpowiedzialności i uczciwości pisarskiej to w każdym razie przez szacunek dla tematu, autor, zabierając się do pisania o wielkich sprawach, winien wstępnie zastanowić się, czy jego wiedza o przedmiocie, zasób doświadczeń i warsztat pisarski sprostają temu zadaniu, czy naprawdę ma coś do powiedzenia i czy potrafi swój wielki temat wyrazić w taki sposób, na jaki temat ten zasługuję. Bo pisać źle, to lepiej wcale nie pisać. A nieudolny, gdyż nieodkrywczy schematyczny „reportaż literacki” nie tylko nie przynosi nikomu żadnego pożytku, ale może poważnie zaszkodzić.

O tej „literackości” warto szerzej pomówić. Jeśli ktoś sądzi, że „literackość” polega na tym, że dziennikarz musi podawać konkretne fakty a literatowi wolno żonglować ogólnikami, to się głęboko myli. Nasz reportażysta nie żałował sobie zwrotów w rodzaju: „krzepły żelbetonem fundamenty, a z nimi sojusze robotniczo-chłopskie i Front Narodowy”, albo: „Z nowymi hutami rosną nowi ludzie”. Ale i co z tego? To są bardzo ważne słowa i dlatego nie wolno autorowi zatykać nimi bezkarnie braków materiałowych i warsztatowych. Autor ma prawo użyć ich tylko wtedy, jeśli stanowią niejako udowodniony przez niego za pomocą przekonywującego materiału faktycznego wniosek, o ile są mianowicie scen i okoliczności przed niego ukazanych. W przeciwnym razie staną się w reportażu „pustymi dźwiękami” — zamiast się im wrazić i tym więcej autora pogłębia.

Powróćmy do naszego autora. Zadufla mają tupe i godną podziwu przedsiębiorczość. Nie ich nie stopi. Nasz autor wybrał się właściwie pisać reportaż o wystawie rolniczo-gospodarczej w mieście C. Niestety, jak pisał: „okazało się jednak, że na otwarcie byli przedstawiciele Polskiego Radia, literatury, prasy i filmu”, więc nie chciał „dublować” roboty. Składając mu w tym miejscu wyrazy uznania za tak lojalne podejście do kolegów — przedstawicieli radia, literatury, prasy i filmu, wyrażamy przekonanie, że wyżej wymienieni koleży docenią w pełni, jak groźnej uniknęli konkurencji.

W ten sposób ocalona została przed piórem kolegi J. wystawa... Jak to sam podaje dobitnie w przemleli gwarze morusów, „temat do reportażu, wściekły się”. Myślicie jednak, że kolega J. zmarł? Gdzie tam! Nie będzie Kasia to Joasia. Przecież naokoło mnóstwo niewyczerpanych tematów, na których nasz reportażysta jednakowo dobrze się zna, to znaczy, nie zna się wcale. Wybiera więc temat zaiste godny swego pióra „budowę wielkiej huty w C”.

Przez chwilę ludziny się nadzieją, że może jednak gościa na teren tak ważnej budowy nie wpuszczą. Gdzie tam! Za chwilę wymachuje triumfalnie przepustką. Naiwni pocziwcy w urzędzie dali się nabrać na jego wymowę i pewność siebie. Ostatnia trudność u kierownika budowy, w którym na chwilę obudziła się czujność — przełamana i nasz zadufek wkracza na teren budowy, odrzucając od pracy zaferowanego kierownika, tudzież sekretarza organizacji partyjnej i zmuszając ich do asystowania.

Teraz przez pół godziny (na sześćście więcej nie pozwalają mu niewyrobione mięśnie w łydkach), nasz kochaś, biegać będzie po budowie, przekazywać w pracy majstrom i robotnikom, zadając im ogólnikowe pytania i otrzymując odpowiedzi na jakie zasłuszy.

Oto pierwszy, nieśmiertelnie mądre pytanie (w tonie łaskawym):

— Jak wam się pracuje?

A oto odpowiedź zaiste godna naszego reportażysty.

— Tyram jak dziki osioł. Walczę z wszelkimi trudnościami. Byłe na przykład, byle jak najwięcej ludzi do roboty, narzędzi, byle robotę dalej posunąć.

Zadowolony reportażysta zaczyna popieszać notować ale szybko przestaje, bo przychodzi mu na myśl, że przecież to samo może z powodzeniem napisać sam, u siebie za biurkiem. Widząc to robotnik miesza się i dodaje, żeby ucieścić reportażystę:

— Ogólnie, wesoło, robi się jak złoto...

Autor nie notuje już tych słów, bo to przecież wszystko jedno, czy napisze „jak złoto”, czy „jak ta lala”, czy „na sto dwa”, a tego rodzaju „mowionych” określił autorowi nigdy nie

brak. U niego, żeby było bardziej po swojsku majster robotnika „naiwnia”, mistrz warsztatów mechanicznych „ma romans” ze swymi mechanikami, i jak wyżej wspomniałem „bierze i ch do galopu”, „tyrząc sam jak dziki osioł”. To się nazywa pisać „od serca”. To cienka warstwa owej pseudoliterackiej pozłoty, którą zadufek czaruje czytelników, a którą czepie nie ze środowiska budowy, ale z żargonu sztubackiego a nieraz po prostu chuligańskiego i która nawet, jeśli przenika w jakiś sposób na budowę, bynajmniej nie jest charakterystycznym elementem jej atmosfery, jak to się wydaje naszemu literatowi, ślizgającemu się po powierzchni rzeczy.

Ale spróbujcie to powiedzieć zadufkowi. On wie lepiej. Jeśli zaś będzie szczerzy, wyzna wam wprost, że zadając pytania swoim ofiarom z góry wie, jaka będzie odpowiedź... że właściwie mógłby pisać „na pamięć”, nie wychodząc z domu, ale nie chce by mówiono, że gardzi ludźmi... poza tym, tu w atmosferze budowy spływa na niego natchnienie.

Dlatego wszystkie dalsze pytania są tego rodzaju, że w nich mieści się już i odpowiedź autora. Oto pytanie reportażysty, cytuję: — a jak wasza robota polityczna? Staracie się przekonywać i wychowywać robotników mniej uświadomionych?

— Oczywiście — odpowiada tow. Pisarek — to ma duże znaczenie... itd. ogólniki, banały i w rezultacie zmera schematyzmu.

Na marginesie parę ujęć schematycznych ku uwadze i przestrodze pisarzy.

Stół kierownika budowy. Konieczne, „zawalony aktami i planami” ma ilustrować zapracowane kierownika. Dlaczego?

Robotnik 60-cio paroletni. Jeśli ma ilustrować tzw. pozytywnego starszaka, konieczne musi zachowywać się „z młodzieńczą werwą”. Dlaczego? Czy starcowi nie wolno być po prostu starcem?

Pozytywny kowal. Konieczne „mówić mocno, po kowalsku”. U licha, czy kowal nie może mieć miękkiego głosu albo chrzyp?

Oczywiście nie ma mowy, by naszem reportażystę wyszły jakieśkolwiek typy i postaci. On umie produkować tylko kukielki. Oto wyciągnął starca z siódmym krzyżkiem na karku, pracującego ciężko przy pneumatycznych młotach. Autor zachwycony. Starzec z siódmym krzyżkiem i młot! A to dziwi! Ze nieptypowe? Ze może właśnie przejaw niewłaściwego roztępienia ludzi w pracy, tego autor zupełnie nie zauważa. To mu nawet nie przyjdzie na myśl! W ogóle nie jest nastawiony na jakikolwiek problem i krytyczne oświetlenie życia pracy i walki robotnika. Działła bezplanowo, nie wie, co tu jest ważne a co nie ważne. Absorbuje go pierwszy lepszy „dziw”. Przypomina dziecko.

Autor napotkał dziadka z pneumatycznym młotem, więc postanowił sobie od razu, że to będzie centralna figura reportażu i główny pozytywny bohater. Przeprowadza wywiad. Okazało się, że dziadek dojeżdża codziennie 60 km. ze wsi i musi wstawać do pracy o 4-tej rano. Problem: Dlaczego nie mieszka w robotniczym hotelu? Jak tam z warunkami bytowymi na budowie? Ale autor nie dostrzega tych problemów. Trudności dziadka potrzebne mu są wyłącznie do apoteozy jego samozaparcia. Jak to pięknie ze strony dziadka, że w tym wieku tucze się codziennie „wte i wewte” po 60 kilometrów.

Ale wracamy na główny trop. Głównym żywiołem problemem starszaka jest, jak się okazuje, to, że ma mały wzrost. To powodowało, jak z pełną powagą zapisuje reportażysta, że przed wojną nie mógł znaleźć pracy. Dziś, stwierdza z zadowoleniem dziadek, jest inaczej, „choć mały jestem, mogę zarobić tyle co duży”. Wysoka świadomość klasową dziadka usiłuje podkreślić autor także jeszcze wypowiedzią „a nie podoba mi się tu, idę, gdzie mi lepi...”. Dzisiejszy robotnik prawdziwie ma wolność!

Wynikałoby z tego, że różne obywateli, włączając itp. niebieskie pta, od dawna cieszyły się „prawdziwą wolnością” i że dziadek pojmuję wolność po cygańsku, ale to nie przeszkadza autorowi kanonizować dziadka za jego przykładowo wysoko rozwiniętą świadomość klasową... na głównego bohatera budowy. Ustęp kończy się oczywiście pompatycznym stwierdzeniem, że „z nowymi hutami rosną nowi ludzie”.

Zadowolony autor przechodzi teraz do inteligencji technicznej. Niestety spotyka go zawód: „Czuje się — pisze — że inżynier woli zdecydowanie budować wielkie piece niż z nami rozmawiać”.

Nie dziwny się, my też wolelibyśmy. Na zakończenie kilka autentycznych ujęć pejzażowych.

„Pustynia piaskowa zmieniła się niebawem w dzunglę materiałów budowlanych”.

„Zmieszało się tu wszystko: chłop, robotnik, maszyn”... Na szczęście tylko w głowie początkującego reportażysty. Ale gwarantujemy, autorze, że w rzeczywistości wszystko tam się „jakoś” i wcale nie dowolnie układa i materiały i maszyny i ludzie. Dobry reportażysta wychwytywa właśnie związki między nimi, stara się rozszyfrować ten układ i jego węzłowe punkty — konflikty, by możliwie najjaśniej „ulożyć” je — w głowie czytelnika, by właśnie nie robiły wrażenia pomieszania i dzungli.

Edmund Niziurski



ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

W Urzędzie Stanu Cywilnego

W jednym z gminnych Urzędów Stanu Cywilnego w województwie lubelskim przeglądam listę zawartych w latach 1948 — 1951 małżeństw na terenie gminy. Oto najbardziej charakterystyczne:

Janina Wójcik, córka Stefana Wójcika i Józef Kazimierski — gospodarz 7-mio hektarowy;

Franciszka Szulc, córka Wojciecha Szulca i Andrzeja Kopyto — gospodarz 6-cio hektarowy;

Genowefa Bujak, córka Alfreda Bujaka i Józef Malc — gospodarz 3-hektarowy.

Wszystkie te małżeństwa zawarto w latach 1948 — 1950.

Teraz nieco danych z innych źródeł:

Stefan Wójcik, ojciec pierwszej panny młodej, gospodarz 15-to hektarowy, daje córce wiano 4-ry ha, Wojciech Szulc, ojciec drugiej, gospodarz 13-to hektarowy, daje córce 3 ha, wreszcie Alfred Bujak (ojciec trzeciej), na 7-miu hektarach, nie daje nic.

Tak więc na trzy małżeństwa stan posiadania dwóch wziętych się powiększa się od trzech do czterech hektarów (oba nowe gospodarstwa około 10 ha), w ostatnim bez zmian, pozostaje 3-hektarowe gospodarstwo biedniackie.

Powróćmy do dwóch pierwszych. Otóż obaj młodzi małżonkowie powiększają swe gospodarstwa, pozostając jednak w granicach gospodarki średniackiej. Dlaczego zaś dają żonom ojciec uśmieszki? Albo tak! Od roku 1948 partia, oczyszczona z elementów prawicowych, rozpoczyna na wsi ofensywę ograniczającą wpływ kulaków. Wójcik i Bujak prędko orientują się w sytuacji. Trzeba zachować pozory średniaków i jednocześnie zachować... ziemię. Bo ostatecznie te „uśmieszki” wiano” i tak i tak w rodzinie pozostają.

Oto tajemnica kilku cyfr z Urzędu Stanu Cywilnego i gminy.

Teraz inne dane z tych samych źródeł, ale z nowego już etapu. Rok 1950 — 1951. Obok powyższych podobnych do opisanych nagle — wylom:

Anna Mikołajska, córka Franciszka Mikołajskiego i Józef Majewski elektromonter;

Walentyna Łukasik, córka Anto-

WOJCIECH KODRYŃ

Młoda i jeszcze młodsze

Trzeba przyznać, że nauczycielki częściej piszą do gazet w porównaniu z kolegami nauczycielami. Do myślenia się łatwo, że mowa tu o młodym pokoleniu. Stare nie dojrzało do fali mobilizującego ruchu korespondentów. Przed wojną nie było to jego winą, ale na dziś zabrakło mu bardzo cennej tradycji i nawyku.

Pisze więc młoda nauczycielka. Ma lat 20. Uczy już trzeci rok na wsi. Jest trzecią siłą w 6-cio klasowej szkole. Z pracą daje sobie radę. Kierownik cen ją. W tych dniach ostatnich zdania zawiera się treść jakże ważnego okresu życia naszych, nowych nauczycieli. Pierwsze spotkanie z dziećmi, pierwsze doświadczenia pedagogiczne, po raz pierwszy podjęta odpowiedzialność wobec drugiego człowieka, przyszłego obywatela. A równocześnie nie zerwany jeszcze związek z własną nauką, seria egzaminów, dopełniających ten wstępny okres praktyki.

Młoda nauczycielka już się wygryzała z tych początków. Wychyliła wreszcie głowę poza szkołę. I tu jak się okazuje — znów staje wobec nowego dla niej początku — powiązania się ze wsią, z życiem gromady.

Na wsi nie ma elektryczności i sklepu spółdzielczego. Pisano już podania w sprawie założenia filii GS-u. Podobno autorem podania był sam kierownik szkoły. Odpowiedź przyszła odmowna. Spółdzielni NA RAZIE nie będzie, ponieważ gromada źle się wywiązuje ze swych obowiązków.

Teraz do akcji przystępuje najmłodsza siła w szkole. Nasza nauczycielka doszła do wniosku, że „trzeba zwołać zebranie gromadzkie i powiadzić gospodarzom o ich obowiązkach wobec państwa”, a potem zwołać zebranie dla założenia komitetu spółdzielczego sklepu. Ale do podjęcia jednego i drugiego zadania, nauczycielce brak wiedzy i doświadczenia. Stawia w liście pytania: jak agituować w sprawie sklepu i jak poprowadzić zebranie założycielskie filii GS-u?

Te pytania dają dużo do myślenia. Czyżby w ostatnich latach uprzedmiotowa się zasada specjalizacji bywała w terenie w ten sposób często realizowana, że nauczycielstwo może

nego Łukasika i Bronisław Starczak — traktorzysta z POM-u.

Chcecie wiedzieć o ojcach? Proszę bardzo.

Franciszek Mikołajski, ojciec Anny, gospodarz na 26 hektarach. Córka nie otrzymuje nic.

Antoni Łukasik, ojciec Walentyny, gospodarz 5-hektarowy. Córka otrzymuje 2 ha.

Czytajmy już bez cyfr. Anna Mikołajska wychodzi za mąż wbrew woli rodziny. Walentyna Łukasik za zgodą. Obaj mężowie bez ziemi. Obaj napływowi. W tym bowiem czasie rozpoczęła się w gminie elektryfikacja wsi, którą prowadził Majewski. Założony w okolicy POM zaczyna obsługiwać wsię. W POM-ie jest Starczak.

Dwa zestawienia. Dwa etapy rewolucji na wsi. I dwa rodzaje miłości. I co się okazuje? Z przybyciem elektromotora i traktorysty MOŻE powstać miłość, oparta na nowych podstawach, MUSI jednak powstać coś więcej: PRZEŁOM W ŻYCIU WSI. Pierwszy krok zos. I już zrobiony: jest światło i maszyny. A to dalej: elektromonter Majewski stara się o przysiadki ziemi. Otrzymuje 1,5 ha. Pierwszymi członkami założonej w 1951 roku spółdzielni produkcyjnej są Majewscy, Starczakowie i Łukasik (ojciec). Zona Majewskiego uzyskuje największą dniówkę obrachunkową. Jesteś posła na kurs dla świetliczank.

Jak do tego doszło? Okazało się, że młody Majewski wprowadził do wsi nie tylko elektryczność. Młody robotnik przyniósł ze sobą książki — fachowe, polityczne i inne. Pod jego wpływem kulacka córka zdecydowała się zerwać z rodziną. Zaczęła czytać. Idąc na kurs świetliczanki, dogania męża. A to jest tak: że wyszły, który w skali ogólnej zmienia warunki życia ludzi oraz charakter stosunków między nimi.

P. S. Fakty podane powyżej są autentyczne. Wniośki oczywiście są autorskie. Dla uzupełnienia dodaje, że z przytoczonych małżeństw z lat 1948 — 1950 tylko Malcowa (indywiduał gospodarze) wypełniła sumiennie swe obowiązki wobec państwa. Ci z wianem — nie. Okazuje się więc, że nawet dane z Urzędu Stanu Cywilnego wykazują przemach zachodzący w życiu naszej wsi.

Zdzisław Palsakiewicz

ZAMYKAĆ się w murach szkoły. Czyżby młoda nauczycielka, praktykująca już trzeci rok, spotykała się z takim kierownictwem szkoły, które nie uczy włączania się w życie wsi, nie wprowadza na konkretny front walki klasowej w gromadzie i gminie?

Kierownik szkoły ma pewnie 50—60 lat. Nasza nauczycielka 20. Przyjrzmy się z kolei dziewczętom 14—15-letnim. Piszą do nas ze „Szwajcarii Kaszubskiej”. Są w 7-mej klasie. Wioska, mała, miała początkowo jednego nauczyciela, ale dzięki opiece państwa (brano były pod uwagę jeziora, oddalające od szkoły zbiorczyce), wioska uzyskała 7-mio klasową szkołę z 3-ma nauczycielkami. Odtąd jednak zaczęły się dziać dziwne rzeczy, właśnie na wsi, o czym piszą dziewczynki. „Kilka naszych kolebek zafacowały, rozpoczęła agitację przeciwko tak wysoko zorganizowanej szkole. Jedną z przyczyn było to, że w naszej okolicy przeważają dziewczynki, mamy prawie żeńską szkołę. Więc uczestniczki mówią, że wszystkie dziewczęta doktorami nie będą a po 4 klasach „zacierkę będą umiały gotować”.

Robota bab polega na tym, aby obrzydzić pracę i pobyt nauczycielom. Co roku też zmienia się skład nauczycielski. Ostatnio odeszła w półroczu rozszalona nauczycielka. Dziewczynkom grozi nieukończenie 7-mej klasy.

A jakie jest stanowisko dziewczynki? „Nam rozchodzi się o coś więcej (polemika ze wstępnymi chłopkami). Znajdą zasady naszego Planu 6-letniego chemy stać się RACJONALIZATORKAMI SOCJALIZMU”. Kimże są te dziewczynki? Członkami ZHP. Czytelniczki z przyjemnością zapewne odczyta nazwiska zarządcy dziewczęcego, podpisanego pod listem:

Szczepańska Regina, Szulistówna Regina, Koszałkówna Józefa, Pałaszówna Anna, Brumka Czesława.

To pokolenie w pracę nauczycielską czy jakkolwiek inną, wejdzie na wieś, już nie w oderwaniu od życia wsi. Ale dlatego sprawa młodych nauczycielek a także starych tym bardziej stać się musi sprawą naszej czujności, pomocy i krytyki.

Wojciech Kodryń.

Z prasy radzieckiej

Pisarze wobec wielkich budowli komunizmu

HISTORIA budownictwa na świecie nie zna tak wielkich i wspaniałych prac jak te, które zapoczątkowała słynna uchwała Rady Ministrów ZSRR z dnia 21 sierpnia 1950 r. Naród radziecki, uzbrojony w przodującą naukę marksizmu - leninizmu, stał się pełnym władcą natury. Jego rewolucyjna wola, wcielona w gigantyczne budowle epoki stalinowskiej, przeobraża pustynie południowych obszarów kraju w bezkresne pasy leśne, w kwitnące tereny. Tam, gdzie wiatry przetaczały wydmy rozpalonego piasku, zaszumiły sady, zazieleni się pola ryżowe; wyrósł kwiaty. Rzeki zostaną ujarzmione w biegu, skierowane w tożsą, postępowe woli człowieka. Rozbyszą nowe gigantyczne elektrownie. Zaszumią nowe morza. Powstaną nowe miasta.

Literatura radziecka, która zawsze podejmowała pilne zadania współczesności, nie stoi na uboku i w tym wypadku. Jeszcze w październiku 1950 r. pisarze radzieccy obradowali w Moskwie nad sposobem literackiego opracowania nowych zagadnień. Jak przełożyć na język artystyczny wspaniałą rzeczywistość wielkich budowli komunizmu? Nowe pasjonujące sprawy stały w drzwiach pracowni pisarzy, wołały o swój wyraz artystyczny. Jak obracać formę? Jaki rodzaj literacki odpowiada najbardziej tej wielkiej tematyce? „Nie mogę przewidzieć” — mówił W. Iwanow — w jakiej formie, powieści, sztuki, poematu, reportażu czy jeszcze inaczej ten lub ów pisarz odzwiercyta wielkie budowle stalinowskie. Jedno jest jasne: literatura radziecka nie może istnieć bez tego, by każdy z nas — z całą swoją mocą twórczą nie opisał tych budowli”. M. Gribaczow wezwał pisarzy do zapoznania się ze współczesną techniką. „Minał czas — powiedział — kiedy pisarzowi wystarczyło wykształcenie humanistyczne. Teraz cały nasz naród opowiada wiedzę techniczną. Przecież inżynierowie ludzkiej duszy nie mogą pozostawać w tyle za narodem”.

Ze Stalingradu, Kujbyszewa, z Cymlińskiej, z Kachówki, z trasy Kanatu Turkmeneńskiego popłynęły reportaż, korespondencje, szkice i notatki. Wielu pisarzy pojechało na teren wielkich budowli komunizmu. W kwietniu 1951 r. pisarze pomyśleli o bardziej planowym, zorganizowanym udziale literatury w realizacji wielkich budowli komunizmu. Na zjeździe literatów Aleksy Surkow wygłosił referat p. t. „Pisarze a wielkie budowle”.

Surkow wskazał na to, że wznowienie wielkich budowli jest dziś w Związku Radzieckim sprawą ogólną — narodową i nie podobna pisać nie uwzględniając tego doniosłego faktu. Po drugie — pisać o budowlach — to pamiętać o ich znaczeniu w walce o pokój. Budowle wyrażają pokojową wolę ustroju socjalistycznego, tak różnego od ustroju kapitalistycznego, który przynosi ludzkości wojny, kryzysy, głód i bezrobocie. Gigantyczne pokojowe budownictwo radzieckie dowodzi pokojowości polityki Związku Radzieckiego — powiedział towarzysz Stalin w rozmowie z korespondentem „Pravdy” w lutym 1951 r.

Surkow wskazał na to, że pisarze muszą współżyć z ludźmi budowli, nie mogą być przyjezdnymi gośćmi, jeśli chcą być pisarzami, a nie obserwatorami i kronikarzami. „Ostrych wielkich budowli — mówił dalej Surkow — stanowią nie maszyny, chociażby nawet najdoskonalsze, lecz ludzie. Właśnie z nimi, z kolektywem budowniczych danej budowli, musi najmocniej zespolić się pisarz”.

Później w 6 nrze czasopisma „Znamia” z 1951 r. Surkow uzupełnił swoje wywody, wskazał na to, że między okresami literatury radzieckiej a etapami rozwojowymi społeczeństwa radzieckiego istnieje ścisła współzależność. Nowy etap wyznacza nową tematykę, kształtuje na nowo literaturę radziecką, podnosi ją na wyższy jakościowo poziom. Po dyskusjach literackich, które stanowiły nieodzowny wstęp dla wytyczenia nowych dróg, literatura radziecka weszła w stadium realizacji zadań, jakie postawiły przed nią wielkie budowle komunizmu.

Pierwszym, większym zjawiskiem w tym zakresie był utwor dokumentarny p. t. „Ranek wielkiej budowli”. Napisał go wspólnie: główny geolog na budowie Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej — W. G. LAKTANOW oraz dziennikarz, reportażysta A. AGRONOWSKI. Temat: geologiczne zbadanie dna i brzegu Wołgi w pobliżu Stalingradu. Opowieść dotyczy początku budowy, stąd też i tytuł. W notatkach tych, sporządzonych no gorąco, pod świeżym wrażeniem wydarzeń, mowa jest o tym, co rzeczywistość odbywała się na brzegach nadwiślańskich, mowa o żywych ludziach, o ich prawdziwych wzruszeniach i radościach, trudnościach i zwycięstwach”.

W ślad za „Ranek” pojawiły się inne reportaż i szkice. „Prawda” wydrukowała reportaż W. KOZEW. NIKOWA, B. POLEWOJA i innych. K. PAUSTOWSKI napisał piękny, obszerny szkic „Od Wołgi do Donu”. A. MICHAŁEWICZ w „Spotkaniach w Kachówce” zarysował sylwetki budowniczych. A. ŻŁOBIN opublikował reportaż o pracy słynnej ko-

paczki, zwanej „krocącym gigantem”. Na łamach „Literaturnoj Gaziety” rozgorzała dyskusja na temat „Jacy właściwie są budownicowie Kachówki?”

Reportażowi dotrzymuje kroku poeta. WIERA INBER napisała cykl wierszy p. t. „Przyszła trasa” — o wielkim Kanale Turkmeneńskim. ALEKSANDER JASZYN poświęcił budownictwu elektrowni nadwiślańskich szereg utworów pod wspólnym nagłówkiem „Człowiek radziecki”. M. NAGNIBEDA opublikował sporo wierszy na temat stalinowskiego planu zalęśnienia. E. DOŁMATOWSKI ukazuje w utworach pod ogólnym tytułem „U przyszłych morz” wizję przyszłych miast i życia w nich.

Nie ma jeszcze powieści. Troska o pełny i właściwy wyraz wielkiego procesu budownictwa w literaturze poddyktowała „Literaturnoj Gaziety” krytyczne wystąpienie pod adresem pisarzy. W nr 147 czytamy: „Czytelników nie zadowalały pewne utwory o wielkich budowlach komunizmu, które pojawiły się ostatnio, ponieważ opis techniki w tych utworach przesłonił człowieka. Pisarzowi przyjeżdżającemu na budowę rzucił się przede wszystkim w oczy, czując i ujarzmiając zarazem swym rozmachem, nowy niewyżyty pejzaż: tutaj wszystko, co ogarniamy spojrzeniem przepięknie zostało wspaniałymi i złożonymi mechanizmami, do ostatnich granic nasycone techniką. Rozumiemy zachwyt, zrodzony przez ten widok, rozumiemy dążeń do tego, aby opowiedzieć o wszystkim czytelnikowi. Oczywiście, to nowe nieczytelne oblicze budowy musi być czytelnikowi przekazane, ponieważ w obrazie tym odbiły się wszystkie zdobycze naszego kraju. Lecz w ośrodku uwagi pisarza powinien znajdować się człowiek, który stworzył tę technikę, kieruje nią; doskonałą każdą maszynę z dnia na dzień; radziecki człowiek — budowniczy komunizmu”. „Literaturnaja Gazieta” — powołuje się na przykład Gorkiego, który uczył, że „materiałem literatury jest człowiek z całą różnorodnością swoich dążeń, czynów, człowieka w procesie swego wzrostu”.

Dlatego właśnie udane są szkice B. Polewoja o budowniczych kanatu Wołga—Don, drukowane w „Pravdzie”. Pisarz — zauważa „Literaturnaja Gazieta” — umiał nie tylko zarysować pracowniczy trud nowatorów wielkiej budowli, ale i pokazać drogę osiągnięć, odzwiercył biografię bohatera... Żeby stworzyć obraz nowatora na wielkich budowlach komunizmu, należy głęboko unikać w jego pracę, zgiebie i przedstawic jej złożony charakter, skalę i perspektywę, zobrazować wewnętrzne bogactwo człowieka, ukazać jego rozwój pod wpływem twórczego procesu pracy. Niestety — stwierdza „Literaturnaja Gazieta” — przyswojenie nowej tematyki przez literaturę odbywa się zbyt powoli, niewspółmiernie do ogromnego znaczenia wielkich budowli komunizmu. Fakty wskazują na to, że pisarze nie zdobyli się jeszcze w pełni na opracowanie nowej tematyki.

Krytyka radziecka powołuje się na godny naśladowania przykład literatury z okresu stalinowskich pięciolatek, na wysokie cele literatury radzieckiej. „We wszystkich etapach historii państwa radzieckiego pisarze radzieccy znajdowali się tam, gdzie rozstrzygały się sprawy, wyrażające istotne przemiany w życiu naszego narodu. Dla naszego czasu takim etapem są wielkie budowle komunizmu”.

Dziela, utrwalające heroizm pracy pierwszych stalinowskich pięciolatek, powstały dzięki temu, że pisarze gruntownie zbadali materiał nasuwany przez rzeczywistość. Powieści Gladkova, Katjew, Saginina oraz inne książki o pierwszych pięciolatkach zrodziły się dzięki temu, że pisarze na dłuższy okres czasu wzięli swoje życie z budowania obiektami przemysłu, że nie szczędzili energii, siły i trudu dla realizacji danego tematu.

Niedawno — pisze „Literaturnaja Gazieta” — duża grupa pisarzy odwiedziła budowniczych nowej elektrowni cymlińskiej. Przykro było słuchać, jak budownicowie sprawiedliwie krytykowali pisarzy, jak opowiadali o przyjazdach literatów, których pośpiech rodził powierzchowne i objętne a niekiedy błędne szkice”.

Wielkie budowle komunizmu dają twórcom różnorodny materiał — od gazetowego felietonu do monumentalnej powieści. Ale w tym celu, aby czytelnik miał dziennikarskie szkice pisane aktualnie z dnia na dzień, jak również po to, żeby można było gromadzić materiały dla przyszłych powieści i poematów — należy głęboko, twórczo i szczerze wnikać w życie komunistycznego budownictwa, należy stać się uczestnikiem tego budownictwa a nie jego przelotnym gościem.

Wylania się jeszcze sprawa ujęcia artystycznego. „Nowatorska myśl uczonych, inżynierów i robotników — kończy „Literaturnaja Gazieta” — oświeca wszystko, co powstaje na wielkich budowlach komunizmu. Niebawem rozmach prac, przeobrażających przyrodę, władco zmieniających oblicze ziemi, żąda śmiałego nowatorstwa również od artysty... Wielki temat musi wcielić się w wielkie utwory”.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Narzeczona

Byłem na świątce u rodziny pod Rudnikami. Poznałem tam u sąsiadów pewnego bezrolnego. Jest członkiem koszykarskiej spółdzielni. Będzie miał około 30-ki. Rozmowny chłop i lubi o sobie mówić. Ano dowiedziałem się, że jak miał 5 lat, wyjechała cała rodzina do Francji szukać zarobku i szczęścia. Po trzech latach wrócili, bo ojciec zachorował, wkrótce też zmarł. Matka podjęła wojny. Teraz brat jego jest majsterem przy prefabrykacji we Wrocławiu, siostra przy mezu na wsi, a on kawaler.

Zadziwił mnie tego wieczora dwa razy. Raz, kiedy z pamięci recytował Rozkaz nr 279. Bo muszę nadmienić, że chłopak w 45 r. wstąpił na ochotnika do Wojska Polskiego, ażeby „zasilić szeregi obrońców naszej ojczyzny”.

Zapisałem sobie ten recytowany rozkaz.

„W mecie niewoli i walce o wolność

Polska wyzbyła się wiekowych wad ustrojowych i odrzuciła się jako kraj wojny i niepodległy. Lud polski — wolny i niepodległy. Lud polski — robotnik, chłop i inteligent po raz pierwszy w historii wziął władzę w swoje ręce...”

Drugi raz zadziwił mnie, kiedy była mowa o jego żeniectwie. Już mi na stronie szepnięto, że jego narzeczoną ma dwuletnie dziecko. A jakże ją przedstawił mój nowy znajomy?

— Dużego majątku nie ma, bo za ledwie 2 ha. I matkę 70-letnią. Sama biedna robi w polu i w domu... Ale spłaciła podatek, sprzedała wyznaczoną ilość zboża i pożyczkę narodową...

Pierwszy raz słyszałem tego rodzaju pochwałę narzeczonej. A tak mi się spodobała, że podobnej życzylibym każdej dziewczynie.

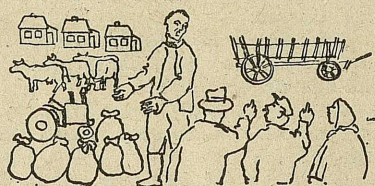
Jan Ciszek.

Wóz albo przewóz

Przewodniczący Deptalski w jednym zdaniu przedstawił cel zebrania. — Spółdzielnia musi kupić wóz. — Kupić to nie sztuka — przerwał Kołodziej — ale skąd wziąć pieniądze?

— Co do pieniędzy — odparł przewodniczący Deptalski — wyjaśnię dokładnie. Wiece, że peluszka do brzo nam obrodziła. Większą część zbioru 32 q sprzedaliśmy GS-owi. Z tej jednej tylko sprzedaży uzyskaliśmy 4.100 zł.

— Będzie więc na wóz? — Czekajcie, zboże obrodziło nam bogato. Z pierwszego brogu żyta zebrałaliśmy 165 q, a z pozostałych dwóch liczę, że będzie 320.



— Ja liczę, że będzie 370 q — wtrącił Haberkowa.

— No to będzie na wóz?

— Czekajcie, z wymiary 165 q prawie 88 q odstawił na punkt skupu. 34 q zasiał na gruntach spółdzielni, a resztę przeznaczamy dla członków na obsiew przysagrodowych i na makę.

— Wystarczy więc na wóz?

— Czekajcie, mamy już 12 krów, dwa konie, i 24 prosiąt.

— A wóz, co z wozem?

— Czekajcie, zakontraktowaliśmy 15 tuczników na 52 r., ponadto zasiedliśmy 9 ha koniowiny, którą sprzątnęliśmy przed zimą na paszę dla krów.

— Znakiem tego, będzie wóz?

— Poczekajcie, zapomniałem do znaku, zebrałaliśmy także 115 q pszenicy. Wybrukowaliśmy drogę, mamy już od roku murowaną chlewnię i elektrykę.

— No to będzie wóz?...

Taki oto nadesłał nam opis zebrania członków spółdzielni produkcyjnej w Łobzowej (pow. Olkusz) pewien korespondent. Czy tak przebiegało zebranie, mamy poważne wątpliwości wobec oświadczenia korespondenta, że swoje sprawozdanie „ubrał trochę jak na scenę”. Ale jedno nie przeszkadza nam w tych rachunkach ciekawości: ile to można kupić wozów?

Redakcja

Aliment

W naszej Radzie Gminnej pokazali mi list inteligenta z Warszawy. Pisał on w sprawie swego brata, który z matką na wsi gospodaruje na 10 ha. „Zaczynam jednak, że nie jest kulakiem — tak ten inteligent pisał o bracie — gdyż zgodnie z określeniem partii nie zatrudnia stałe siły roboczej”.

O co mu szło?

Chciał, aby bratu ze skupu zboża zdjąć to, co przypada na aliment dla matki. Aliment to nie ta ilość zboża, jaka potrzebna byłaby do wyżywienia, ale w zbożu najcięższej wypłacana corocznie cała odpłata za przebieganie gospodarki na syna czy córce. Dawniej starzy w ten sposób zabezpieczali sobie życie. Z tego alimentu kupowali ubranie, mieli na życie, na chorobie, i wszelkie wydatki osobiste



Rada Gminna już odpowiedziała bratu, że alimentu spłacać należy w pieniądzu. Wobec tego inteligent tak pisze:

„Ja sądzę, że jest to niesłuszne postąpienie. Rząd nakłada kontyngenty (?) nie po to, aby ograniczyć chłopów w spożywaniu ich produktów, tylko po to, aby dostarczyć żywność dla miast, likwidować pokątny handel zbożem. I właśnie jeśli wszyscy odstawią wyznaczony im kontyngent (?) to nie ma mowy, by można było kupić gdzieś na „lewo” i w dodatku za wygórowaną cenę zboża, czy kartofli”.

Jakże ten inteligent kręci. Wszak brat jego, jak każdy chłop, na wyście dla matki ma prawo i obowiązek zboża zatrzymać. Więc na spójnicę zatrzyma, ile zaś ma w planie, sprzeda właśnie państwu, aby zlikwidować pokątny handel i zabezpieczyć miasto. Ale inteligent chce, aby brat zatrzymał towarowe zboże w wysokości alimentu, a przecież matka nie ubierze się w zboże i nie będzie płacić zbożem np. leczenia, podróży itd. Inteligent chce zatem, aby — kiedy nie będzie można kupić na „lewo” — jego brat mógł sprzedać na „lewo”. Takie to jego genialne rozumowanie.

Józef Tarka

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wypożyczalni i miejsc przyjmujących wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

O ekonomii

Było sobie dwóch chłopów w przodującym powiecie Nowogard na Pomorzu Szczecińskim. Jeden to Stanisław Miszczak — średniak. Jego rachunki z 1950 roku przedstawiają się następująco: Za sprzedane zboże otrzymał 1.800 zł, za ziemniaki — 800 zł, tuczniki — 1.700 zł. Razem — prosił — równo 4.300 złotych. — Z cukrowni samego cukru po rozliczeniu otrzymał 120 kg. Ładny zarobek, nie ma co. A mleko, nabiał itd. Podatku zapłacił 900 złotych.

Drugi chłop to ten sam Stanisław Miszczak z Maciejewa, tylko że już spółdzielca. A jego rachunki z 1951 roku? Razem z żoną wyrobił 500 dniówek po 20 złotych, czyli że chłopu wpadło do kieszeni 10.000 zło-

tych. Podatków — jak wiadomo — nie płaci — wyjąwszy 15 zł za działkę. Ta działka przyniosła mu 1.070 złotych za tucznika. Mógł sobie wziąć zaliczkę 1.700 zł. „Indywidualny” Miszczak nie wyprodukował tego co tegoroczny ze spółdzielni otrzymał: 16 m materiału, 22 m siarą, 309 kg owsa, żyto, ziemniaki, pszenicę, buraki pastewne...

Więc Miszczak odzyskał w takiej sprawie, żebyśmy my korespondenci terenowi podkuli się bardziej w rachunkach i wyliczali jak się dobrze wychodzi gospodarując po nowemu. Bo w wielu naszych chłopach siedzi jeszcze stary gospodarz a nowy się dopiero rodzi. Trzeba mu tę ekonomię pomóc.

Jan Biegała

ŁADNE OBYCZAJE

W PGR Wójcino, dość często tu się dzieje kłótnie, awantury, ploteczki. Czyja to sprawa? Język cioteczki, z niej to już jest fachowiec nawet „rekordzistka” ta Wanda Boro-wiec. Wpada na pomysły byle nie jakie maluje szyby g... co narobiły dzieciaki. Wylewa brudy sąsiadom pod mieszkanie, każdy ustępuje, bo zna jej gadanie. Otworzy buzię od ucha do ucha, tylko z nią zaczyna, to ci da w niucha. Zna ją dobrze wszyscy sąsiedzi. A dlaczego PGR się nad sprawą nie biedzi?



Właśnie, dlaczego? Wierszyk nie nazbyt... ale sprawa jeszcze gorsza. Wierszyk napisała robotnica z PGR Wójcino. Napisała również list, w którym użala się na tak wulgarnie babisko — sąsiedzkie stosunki. Czy kultura obyczajów nie obchodzi zarządu PGR? Czy nie ma on,

obowiązku dbać o to, aby wsteczniczy nie spychał robotników rolnych w położenie „bydła roboczego”? Czy PGR Wójcino ma świetlice, biblioteczkę, gazetę? Autorka wierszyka prosiła, aby go wydrukować. Może wstyd będzie dla kłótni lekarskim. Podsuwam to lekarstwo również zarządowi

Autorka listu i wierszyka pisze z błędami ortograficznymi ale inteligencja ma. Do lepszych i ważniejszych wierszyków można by ją wykorzystać w gazecie i w wieczorach świetlicowych w PGR-ach, gdyby jedno i drugie prowadzono...

Zenon Kębluch

JAN BARANOWICZ

OCZYWIŚCIE, REMONT ZGODNIE Z PLANEM

Oczywiście, remont zgodne z planem. I maszyny gotowe. Jak jeszcze? Można ruszać z wierzora czy ranem, byle jeno pokropić deszczem.

I deszcz lunął. Ba, lało noc całą. I w następny dzień, aż do zmroku. A w ośrodku jak makiem poszło. Ciągłe wczasy. I spokój. I spokój.

Co się stało? Remont zgodnie z planem. I maszyny gotowe do startu. Ano właśnie, Ruszyły dziś ranem. I stanęły. Tak z miejsca. Bez żartów.

Bo: — W traktorze szwankuje przekładnia. Siewnik — ziarna nie sypie, ładac. Kultywator wygląda parady, kiedy drzemie przed szopą, na placu.

A ten remont? Gotowość? Bajeczka! Stukał kowal. Mechanik coś kręcił. Ale żeby rozebrać, zaglądnąć, jakos czasu nie stało i chęci.

Cóż się dziwić, że żniwa sży marnie: że zboż zwózka do wrzescia się wlokła. I że zamiast się młócić w młóckarni, komorowska pszenica w mglach mókła.

Dość komitet gminny drzemał w kącie! Posła głowę wychylił z zapiecka. I somowców rozgrzać przy remoncie! To też pomoć. Tak — pomoć sąsiadka!

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wilejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751 80 do wewnętrzny 91, 93
REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumerat:
miesięcznie 3,- zł; kwartalnie 9,-; półrocznie 13,-; 21; rocznie 36,- zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342,110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wiś”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-11422

PIOTR CHMURA

S A S I E D Z T W O

CHCIAŁABYM przed Wami Czytelnicy postawić pytanie: jak na wsi przemienia się kształtujące WSPÓŁŻYCIE SASIEDZKIE? Powinności częściej o tym pisać do redakcji.

Przekształcamy się w naród socjalistyczny, tzn. w naród o takiej jednolitości i jednolitości, jakich dotąd przez całe tysiąclecie naszych dziejów nie można było wymarzyć. Budujemy nową moralność między ludźmi.

I możemy ją zbudować. Mamy ojczyznę wyzwoloną od burżuazji własnej i zagranicznych monopolów imperializmu. Mamy władzę robotniczą — chłopską, mamy rewolucyjne reformy, które uspołecznili podstawowe środki produkcji, uczyniliśmy z kraju „wielki plac budowy”, na którym rosnące giganty i kombinaty otwierają perspektywę wielkiego rozwoju gospodarczego i pełnego zrealizowania socjalizmu w Polsce. Mamy w Kraju Zwycięskiego Socjalizmu pomoc, przyjaźń i wielki wzór, kim to stać się potrafi człowiek wolny i jak bardzo po ludzku współżyć może człowiek z człowiekiem.

W dokonanych już przemianach w naszej pracy i walce o wytknięty cel przemienili i przemienia się moralnie człowiek w naszej ojczyźnie. Z kolei każda przemiana i każde osiągnięcie moralne stanowi nową siłę tak duchową, jak i materialną w zrealizowaniu zadań, jakie postawił sobie nasz naród, naród robotników, chłopów i inteligencji.

Jak widzicie z tego wstępu sprawa SASIEDZTWA NA WSI stanowi jeden z tych wyników życia, na którym dobrze można zaobserwować stare i nowe w moralności chłopu. I dobrze można uchwycić ten nierozdzielny związek, jaki łączą społeczne z prywatnym. Człowiek nie żyje sam, a dłużej ręką. Tam gdzie ono obijuje w żatargi, kłótnie, wzajemne szkolenie, zawsze znajdziecie sygnał walki klasowej, zawsze zagrożony lokalnie nowy ustrój. Często ujrzycie w ataku wroga klasowego, który za parawanem „prywatnych, sąsiedzkich spraw” uderza w nowe życie społeczne, uderza w nasz rozwój gospodarczy na wsi, aby ten nie wsparł jak należy naszego uprzedmiotowienia, aby hamował tempo naszej 6-latki.

Podam Wam dwa przykłady ta-

kich złych, niemoralnych stosunków sąsiedzkich. Sami zobaczycie, że nie istnieje sąsiedztwo „autonomiczne”. Jego dzieje wyrastają, jak gałąź z pnia walki klasowej i na nią wpływają.

Oto pisze chłopka z powiatu żywieckiego. Ma 1,5 ha ziemi i 1 ha pastwiska. Pastwisko otrzymała z podziału bonia jeszcze w r. 1923. Wtedy komisja zagwarantowała, że droga, która biegła granicą jej pola, nie zmieni swej trasy. Tak przebiegała do r. 1949. Wówczas to był to wojt, teraz przedzierzgnięty na drugonizstraz, wytyczył na własną rękę przez jej pole nową drogę. Kobieta po kartoflach zasiała pszenicę. Droga zniszczyła nowatorski eksperyment. Była to bowiem pierwsza próba we wsi, zasiania pszenicy tam, gdzie siano tylko owies. Droga wiodła w góry do łąk, była dla wsi dłuższa i korzystała z niej praktycznie mogło 3 — 4 gospodarzy. Ale na drogę wjechało i to z bagażem kamieni, zasypało nimi drogę i pole. W 1950 i 1951 r. ponowiono tę dewastację. „Złośliwość ludzka?” „Nieuczciwość sąsiedzi?” Nie, moi drodzy. Tak nawet nie ocenia nasza chłopka. Jest już stara, ma pięcioro dzieci. Ta matrolna chłopka umie sprawę ująć klasowo i dojrzeć społeczne sprężyny.

„Chcę mieć zniszczyć. Za co i kto? Za to, że oddałam państwu kontraktowaną svinie 108 kg, że oddałam len kontraktowany, że zwolniona ze zboża (swinia i len) dałam i zboże sama, bo wiem, że jak każdy da, to przysłuży się tym ojczyźnie. Za to, że regularnie płacę podatki, że mleko oddaję do mleczarni, kiedy ci, co mi pole niszczą, robią masło, aby sprzedać w mieście po paskarskich cenach. Za to, że przeznaczylam 15 a pod len kontraktowany, 15 a pod owies. Któż, to są ci, co mi nawieźli kamieni i zrujnowali pole? To są sąsiedzi kuczający ich robotą ma dłużej ręką. Oni bijąc mnie pilnują starego porządku na nowej wsi”.

*

DRUGI PRZYKŁAD. Trudniejszy z pozoru. Jesteśmy bowiem z kręgu byłych fernali w pow. łężeckim. Otrzymaliśmy z reformy rolnej po 5 ha i gospodarujemy. W okresie okupacji przybyła nam nowa rodzina bezrolna, wysiedlona z powiatu kozińskiego. Iż to upłynęło lat a przecież ta nowa rodzina nie przestała być dla miejscowych „obca”. Miejscowych

WOJCIECH ŚCIBOR

Nie poprzestajemy na powiecie

JEST taka wieś Dolny Las w pow. augustowskim. Obudziła się do nowego życia późno, bo dopiero w 1949 roku, kiedy powstała tu organizacja partyjna, koło ZMP, gdy założono świetlicę, szkołę i zaczęto przemysłować nad założeniem sklepu spółdzielczego. Inicjatywa ZMP poparta została przez partię, filię wreszcie założyło 40 chętnych. Na kierownika wytypowano ob. Rowińskiego, syna średniaka, człowieka, który niejednemu w życiu widział i niejednemu przeżył, a cieszył się zaufaniem całej gro-mady.

Przez cały rok pracował dobrze, wieś była bardzo zadowolona. Ale powoli zaczął się zmieniać. Zaczęło się to od pierwszej kontroli spółdzielni przez inspektora PZGS, która odbyła się... przy kieliszkach. I powoli, powoli z pokornego baranka wyrastał rozowścieczony brytan. Bał się komitet członkowski tego wielkiego pana, który w jednym roku kupuje buty, płaszcz, palto, srebro, żonę, dzieciom, później konia do wyjazdu, uprzęż, nowy wóz, a na zime, i powóz.

W sklepie gromadzkim stale coś ginie: to skrzynka wódki, to worek maki, to drut, to gwoździe. Sprawy kradzieży znaleźć nie można i komitet sklepowy potulnie brat to na

„odpisy”. Wiadomości o tym docierały do Gminnej Spółdzielni, tak że nawet kierownik niekiedy przyjechał, ale wypili parę gębszych... i odjechał. Rowiński rozczuliwał się. Cituła Jana, Sam-borska, Służnińskiego — wypędził ze sklepu nawet kopniakami, gdy zaczęli zwracać uwagę na jego niewłaściwy stosunek do ludzi i do pracy.

Opowieść tu streszczoną ciągnie nasz korespondent przez lata 1950 i 1951.

Jest w tej opowieści opisany i brak czujności ze strony Komitetu Powiatowego, jest karygodne współdziałanie w nadużyciach Rowińskiego ze strony augustowskiego PZGS, w którym Rowiński miał jakieś „wielkie chody”. Pada nazwisko ob. Norberta z PZGS w Augustowie, jako tego, który tłumaczy krytykę mas.

„My już nie widzimy innego wyjścia — pisze korespondent — chyba, że tę sprawę poruszysz przez prasę”. Dwa lata to trwa, przeszło 100 tygodni, 700 dni...

Charakterystyczne jest, że miejscowym działaczom i aktywistom terenowym nawet na myśl nie przyszło, gdy nie mogli sprawy załatwić w gminie i w powiecie, aby dotrzeć do województwa, a może nawet i do Warszawy.

STEFAN WALICKI

Wzmacniać inicjatywę społeczną

USPRAWNIENIE zaopatrzenia wsi, to nie tylko (choć także) sprawa rewizji pewnych rozdziałów Ministerstwa Handlu Wewnętrznego, to przede wszystkim sprawa mobilizacji czynników społecznych, ogromnie ważnej w otoczeniu terenowych Rad Narodowych, Gminnych Spółdzielni, i ich Komitetów Członkowskich oraz Rad Kontroli.

Dlatego z radością, jako wyraz pewnego przełomu notujemy list ob. Anny Leżuchowskiej z Mokrego Śl., która pisze:

„Należę do komitetu sklepowego, cieszyłam się bardzo z tej zaszczytnej funkcji, bo porządek lubię i umiem robić, a sprawiedliwy rozdział towarów również, i ludzie mają do mnie zaufanie.

Jest dziś u nas wielkie narzekanie na brak flaneli i płótna, ale przecież dużo towaru jednak przychodzi, tylko sprzedaje opiera się na różnych „widzi mi się”.

I oó z tego, że jestem w komitecie członkowskim, jeśli jak towar przychodzi, to mnie nie zawiadamiają, a ob. Prezes Spółdzielni dzieli ten towar jak uważa na poszczególne filie. Tak np. ostatnio całą flanelę, jaką przyszła, przekazał do wsi Kuźnia Stara, chociaż nasza spółdzielnia obsługuje nie tylko tę wieś, ale także Mokre Śl., Śmółkowie, Borową Wieś, Paniowy i Stara Kuźnia

wiązają pokrewieństwa i kumoterstwo. Ale to jeszcze sprawy nie tłumaczy. W okresie reformy rolnej nowa rodzina otrzymała podobnie, jak pozostali, 5 ha i mieszkanie w budynkach dworskich. Ale już w łapczywej walce o obojętne zepchnięcie ją do folwarcznej, wielkiej stajni, oddalonej o pół km. Miejscowi zaś b. fornale zajęli stajnię i chlewy, znajdujące się tuż przy budynkach mieszkalnych. Była to wówczas walka o perspektywę dobrodziejstwa, o ubezpieczenie na wyrost. Stajnia folwarczna niszczała z latami, smutny zbytek dworskiej ale również symbol społecznej rady.

Nowa rodzina dopracowała się dobytku nie gorzej niż miejscowi b. fornale. Ma dziś konia, 2 krowy i 2 svinie. Podobnie np. Ciszewski. Ma dwa nieużywane chlewy (na 4 svinie) i trzy kłaki w oborze. W jednej trzyma dwie krowy, w dwóch pozostałych po svinie, jakkolwiek jedna z nich jest na 2 krowy. Odciedziły połowę tego obojętne po siostrze, która umarła. Jej dzieci (dwójce) wzięły państwo na opiekę. Ciszewski ma tylko jedno dziecko (14 lat). Nasza nowa rodzina — troje dzieci, najmłodsze 3 lata, a sżykuje się czwarte. W tych warunkach kursowanie do obory pół km z pozostawieniem 3-letniego dziecka bez opieki — to ciężka sprawa. Dach stajni folwarcznej wali się. Krowy stoją na deszczu. Jedna świeżo po ocielaniu i cielak wystawione na zimno są zagrożone, gospodarka i produkcja może upaść. Nowa rodzina prosiła sąsiadów o wypożyczenie kłatek w oborach a jest ich wiele wolnych. Sąsiedzi odmawiają. Dlaczego?

Nowa rodzina agituje za spółdzielnią produkcyjną. Apeluje do klasowego sumienia b. fornali.

I ten przykład mówi o uśpionej czujności klasowej politycznych działaczy terenowych, o mało wnikliwym gospodarowaniu Rady Gminnej. Trzeba pomagać w rozwoju produkcji każdej małej i średniololnej rodzinie. Umocnić WARUNKI a wówczas przy kontrakcji i skupie nie będziemy mieli odstępu „trupów gospodarczych”. Partia i ZSL lokalne winny wzmocnić ideologiczną pracę. Byli bowiem fernali z jednej strony dobrze rozumieją, że od nich więcej oczekuje się w marszu do socjalizmu, z drugiej strony, jeśli z nimi się nie pracuje politycznie, ostrzeż niezarzą bronią się przed postępek.

Piotr Chmura.

I to jest smutne. Zabrakło tu tego głębokiego zrozumienia NOWEJ, KLASOWEJ TRESCI władzy ludowej NA WSZYSTKICH JEJ SZCZEBŁACH, w porównaniu do dawnej, przedwojennej kapitalistycznej władzy.

Przed wojną, było tak, że pewną część terenowych ogniw władzy państwowej chwytali przejściowo w swe ręce nieraz proletariaty. Dlatego też masy ludowe miały nieraz większe zaufanie do tych terenowych ogniw władzy państwowej niż do jej szczytów. Bo, jeśli nie załatwili w gminie, czy powiecie, to połączymy się biedak, nawet z najsłabszą sprawą w centrali.

Ala dziś? Dziś, gdy w dodatku każda instytucja państwowa, społeczna czy gospodarcza na szczeblu województwa i centrali dysponuje specjalnie do tego celu powołanym aparatem kontroli, którego zadaniem jest doprowadzić masom ludowym w oczyszczaniu z obcych wpływów i zginiętych obyczajów całego terenowego aparatu władzy ludowej?

Władza ludowa nie kończy się, kołowego korespondencie, w powiecie, jest ona ta sama, bardziej nawet czujna na głos mas ludowych i w województwie i w Warszawie.

Wojciech Ścibor

ciepłych skarpet. Czy dlatego, że u nich w Czarnym Błocie nie ma tego towaru nigdy? Nie, towar często jest, ale... nie można się dopchać. Dlaczego?

„Te towary — pisze korespondent — podlegają komitetowi sklepowemu, który je przydziela ludziom. Z naszej gromady Cegielnicy, wchodzi do tego komitetu sołtys ob. St. Niewiadomski. Jako sołtys nie powiem, pracuje dobrze. Ale w komitecie członkowskim, to on pracuje nie za bardzo. W pierwszym rzędzie dostają towar jego kumotrzy, a co po nich zostanie, to dopiero dla drugich. Dla swojej rodziny, dla każdego to potrafi coś wciąć, a kto inny to na cały rok dla całej rodziny dostał tylko 1 parę pończoch”.

Część ten korespondent od nas chce? Skarpet, czy protekcji do ich uzyskania? A właśnie, że nie. Prosi o radę, „czy nie byłoby słusznie, żeby do takiego komitetu sklepowego wchodził również i przedstawiciel ZMP, który by pilnował życiowych potrzeb młodzieży”. Oto słuszna i właściwa metoda wyjścia z dotręzionych bratków. Jesteśmy pewni, że przy pomocy Powiatowego Zarządu ZMP nie trudno do załatwienia.

Tysiące takich inicjatyw popartych przez terenowe Rady Narodowe, a połowa trudności w zaopatrzeniu i nadużyć zniknie.

Stefan Walicki.